odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok II
Łódź, 2 sierpnia 1959 roku

NR 31 (75)
CENA 1 ZŁ

Korespondencję własną z Paryża czytaj — str. 12

Jan Sztaudynger o swojej babce pisze na str. 10

Elżbieta jest młodą naiwną dziewczyną, nie zdającą sobie sprawy ze społecznych konsekwencji historii w którą została wplątana. O ZEMSCIE PROWINCJI — czytaj na str. 3

Reporterskie notatki z Łęczycy na str. 4

DZIŚ W NUMERZE

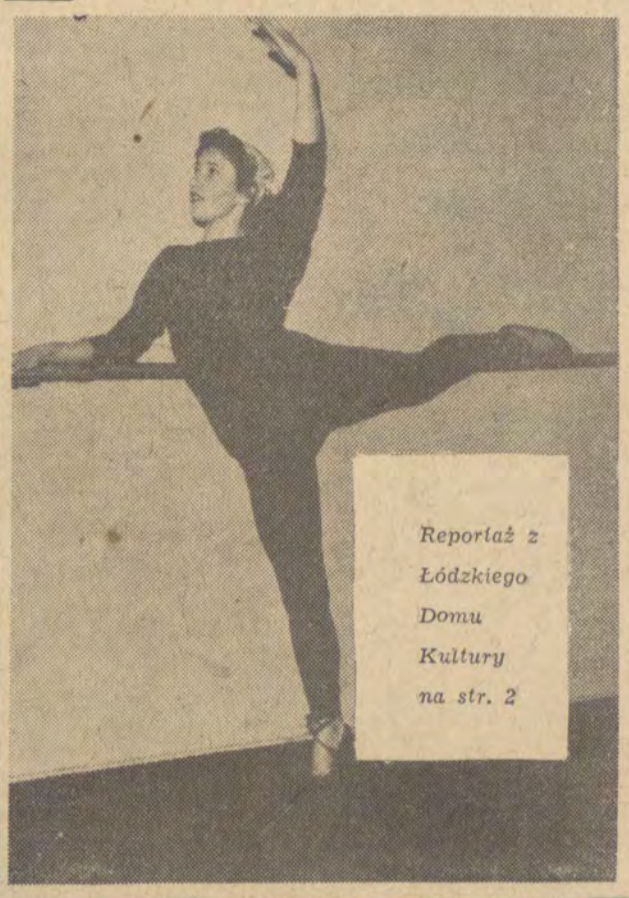

Reportaż z Łódzkiego Domu Kultury *na str. 2*

ANDRZEJ JAROSŁAWSKI

POLSKI TEXAS

Moda w Bieszczadach na Texas wybuchła zanim na ekranach ukazał się film „Rancho Texas". To raczej film ten powstał z ciągot bieszczadzkiej młodzieży do przebierania się w szatki kowbojskie.

Oczywiście, nie możemy z tym przesadzać. Kowbojów w Bieszczadach tak wielu znowu się nie widzi... Co prawda, na apel „Dookoła Świata" zjechało tu trochę młodych, żądnych przygód ludzi, którzy w tzw. „Wilczej Dolinie" wypasają krowy należące do instytucji o nazwie zgoła nie Dzikiego Zachodu: „Centralny Zarząd Handlu Mięsem".

1

Jednak nie kowboje zamieszkują Bieszczady...

Za Baligrodem nasz autobus pozostawia ostatnie osiedla ludzkie. Dalej właściwie ludzi się nie widzi...

W przewodniku turystycznym czytam co półtora wieku temu pisał Aleksander Fredro o tej trasie: „...tam granica świata. Za Baligrodem wjeżdża się jak w czarne gardło. Droga i rzeka jest to jedno i to samo. A od rzeki z jednej i drugiej strony wznoszą się czarne ściany jodeł i smreków".

Być może, że dzisiaj droga ta nie przedstawia się tak groźnie, jodły się znacznie przerzedziły, a smreki nie są już tak czarne, ale w każdym razie śmiem twierdzić, że miałem większe prawo niż Fredro wykrzyknąć: tam granica świata, a w każdym razie cywilizacji.

Za czasów Fredry w Cisnej była huta żelaza, po drodze liczne dwory magnackie i szlacheckie, ludne wsie, tartaki, młyny, kopalnie. Z tego wszystkiego pozostały jedynie nazwy. Wygląda to w ten sposób, że np. w przewodniku czytamy: „Droga wznosi się lekko, przechodząc przez nie istniejącą dzisiaj wieś Przysłup". Droga rzeczywiście się wznosi, a po Przysłupiu śladu nie zostało, ruiny połknął las, lub tak zarosły trawą, że ich w ogóle nie widać.

W Ameryce jest modne powiedzenie, że colt zbudował Texas.

Parafrazując można powiedzieć, że „pepesza" przywróciła w Bieszczadach ład i porządek". Zbudować co prawda nic nie zbudowała i nie mogła, ale w każdym razie sprawiła, że można dzisiaj bez obawy przemierzać Bieszczady.

Powojenna historia Bieszczad to dzieje zupełnie tragiczne.

Bieszczady były zamieszkane przez Łemków i Bojków, ludność pochodzenia wołoskiego, przemieszaną z elementami ruskimi i polskimi. Byli oni wyznania grecko-katolickiego i właściwie jedynie to łączyło ich z Ukrainą. Zaważyło to jednak na ich losach. Popi oraz nieliczna inteligencja kształcona w seminariach ukraińskich związali się z ukraińskim ruchem nacjonalistycznym. Gdy po wojnie pogranicze południowo-wschodnie stało się terenem działalności band UPA, część miejscowej ludności podburzona przez popów udzieliła im poparcia.

W ten sposób prymitywni pasterze owiec i hodowcy wołów zostali zamieszani w brudne sprawy Wielkiej Polityki.

Terror band faszystowskich, działalność Wojsk Polskich, nasilona po zabójstwie generała Świerczewskiego, przesiedlenia sprawiły, że Bieszczady stały się bezludziem pozostawionym na blisko 10 lat wpływom dziczejącej przyrody.

Wystarczy powiedzieć, że w pow. jasielskim ściana lasów przesunęła się o 35 km z gór w stronę nizin.

Reporter czuje się tu trochę dzisiaj jak archeolog. Może odgrzebywać ślady cywilizacji, jakiś nasyp kolejowy, czy komin chałupy, rozpoznawać w zdziczałych jabłoniach i gruszach dawne sady, dokopywać się do ziemianek — byłych schronień band UPA.

2

W chwili obecnej całą ludność w Bieszczadach można podzielić na 4 grupy: robotnicy leśni, drogowi, górale z Podhala, wypasający tu sezonowo owce, i junacy z kufców ZMS.

Jedynie ci pierwsi stanowią w jakimś sensie ludność stałą — reszta nie zostanie tutaj i właściwie nie ma po co zostawać.

Bieszczady, mimo tego, że kilku młodzieńców ujeżdża konno, stylizując się na kowbojów, nie są jednak Texasem.

W Ameryce pojęcie „Texas" nie tyle oznacza kowbojów z coltami, co kraj o nieograniczonych możliwościach gospodarczych. Kiedy niedawno jeden z francuskich deputowanych powiedział w parlamencie, że Sahara winna się stać francuskim Texasem, miał on właśnie to na myśli.

Natomiast ziemia Bieszczad, ani nie kryje w swym wnętrzu — jak Texas —

Dalszy ciąg na str. 6

Wypasy w Bieszczadach.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

O Bardzo Wielkim Poecie, Mańce i srebrnej Wiśle

Kiedy wreszcie znalazłem miejsce w autobusie PKS, moja walizka zaczęła zdradzać tępą samowolę i po kilku raczej nieudanych próbach zawiśnięcia w powietrzu spadła na bajeczny fryz koszy z nabiałem i ściśniętych skrzętnie kolan. Przeciwległe kolano syknęło i zawołało ludzkim głosem:

— Co pan wyrabia, panie Tadeuszu?

Wtedy spostrzegłem, że mój mantelzak spoczywa na kolanach Bardzo Wielkiego Poety z miasta Warszawy.

Bardzo Wielki Poeta okazał się jednak wyższy nad tę walizkę i podjął rozmowę nasyconą życzliwą, umiarkowaną wyższością. Jak się okazało, on także jechał do miasteczka K., ale nie tyle dla odpoczynku, co dla skupienia się nad dziełem, które może mieć skutki dla niezbyt dotychczas pomyślnego rozwoju literatury krajowej.

Skłoniłem głowę, by okazać, że zdaję sobie sprawę z różnic naszych pisarskich rang. Bardzo Wielki Poeta wybrał się w drogę samotnie, ale już jutro przyjedzie w ślad za nim jego sekretarka, z maszyną do pisania. Zatrzymają się w domu „Sarpu".

— A pan, w którym pensjonacie?

Wiedząc, że mój rozmówca, kiedy nie pisze wierszy społecznych, niezbyt poważa ludzi, korzystających z instytucji plebejskich w rodzaju Funduszu Wczasów Pracowniczych, chrząknąłem coś niewyraźnie. Na szczęście autobus dojechał do miasteczka K. i uprzejmie rozstaliśmy się.

Na przystani zatrwożyłem się nie na żarty. Wisła płynie gdzie trzeba, ale statku ani śladu.

Zrozpaczony rzuciłem okiem na kępę rokiciny, z której różowiły się wypięte ku słońcu pośladki zeszyte na okrętkę tasiemką slipów. Pośladki dostrzegły niepokój mój oczyma duszy i poinformowały, że statek znajduje się o pięć metrów w lewo. Ogorzałą piętą wskazały na wyzierający z przybrzeżnej zieleni pręt anteny radiowej. Wszedłem w gąszcz, pod nogami zastukał biało lakierowany mostek (z pewnością kapitański) i znalazłem się w jakimś obszerniejszym pomieszczeniu.

Ujrzałem suto zastawione stoły. Nad dymiącymi talerzami unosił się na kształt balonów na uwięzi rząd ogromnych gotowanych raków, wielkości twarzy ludzkich. Były to istotnie twarze moich towarzyszy wczasów, którzy przybywszy tu wczoraj nie marnowali słońca.

Miejsce przy najbliższym stole okazało się wolne. Błyskawiczny refleks, wyrobiony podczas stołowania się w restauracji dietetycznej o nazwie „Roma". Siadam. Ktoś nalewa mi zupę. „Raki" kierują na mnie zewsząd szczypce traktujących spojrzeń. Turnus wczasów wodnych na Wiśle otwarty.

☆

Umieszczono mnie w jednej kabinie z „Przystojniakiem". „Przystojniak" przywitał się ze mną, jak ze starym znajomym i poinfor-

Dalszy ciąg na str. 7

Zielona Kraina

TADEUSZ PAPIER

Nie zostawiajmy mecenasa samego

A więc spełniło się! Nagrody artystyczne i naukowe województwa łódzkiego zostały przyznane i wręczone. Uroczystość odbyła się w Radomsku i felieton z okazji rozdania nagród trzeba by rozpocząć od wzmianki o tym mieście. Zbiegły się bowiem tutaj dwie — rzec można — imprezy godne pióra kronikarza. Sesja wyjazdowa Wojewódzkiej Rady Narodowej była jakby najbardziej podniosłym zakończeniem Dni Radomska, obchodzonych od 18 do 26 lipca; poza tym nagrody wręczono w tym mieście, które w roku 1944 pierwsze na terenie województwa zorganizowało konspiracyjną radę narodową. Obydwa akcenty są niezmiernie interesujące i one wystarczyłyby, aby felieton oprzeć na tych tylko motywach. Istnieje jednak jeszcze i trzeci aspekt całej sprawy, który usprawiedliwia nieco inne podejście. Fakt, że wręczenie nagród odbyło się w jednym z miast powiatowych, a mogłoby się odbyć równie dobrze w Łęczycy czy Sieradzu, ma swoją osobliwą wymowę.

Nie będę jednak opisywał bardzo wzruszającej chwili wręczenia nagród, która jednym wyciskała łzy wzruszenia, a mogła wyciskać także inne łzy; nie będę wskrzeszał przy tej okazji pamięci królów i książąt, którzy przewinęli się przez historię Radomska (miasto sięga trzynastego wieku, ziemia radomszczańska ma bogatą tradycję i wiele historycznych zabytków, w Strzałkowie mieszkał Siemiradzki) ani zgodnie z przepisami prawidłowego rozwoju miast i osiedli nie zwiążę historii Radomska z rozwojem przemysłu, jakkolwiek tak właśnie było i ożywienie tego miasta datuje się od zbudownia linii kolejowej warszawsko-wiedeńskiej. Te rekwizyty historyczne stanowiłyby bardzo wdzięczną oprawę dla nie mniej wdzięcznego pokwitowania podniosłej uroczystości. Czy warto jednak kusić się o podmalowywanie tła, skoro już od pierwszego rzutu oka czyniło ono jak najbardziej korzystne wrażenie? Byłoby to, jakby rzekł Szekspir „złoceniem szczerego złota" albo „przydawaniem nowych barw tęczy" nie wiem zaś, czy tego rodzaju słodzenie słodyczy mogłoby wyjść na dobre.

Wróćmy zatem na ziemię. Nagrody naukowe i artystyczne zostały ustanowione w celu „zapewnienia możliwie szerokiego wkładu Ziemi Łódzkiej i jej twórców w dzieło pomnożenia ogólnonarodowego dorobku naukowego i kulturalnego oraz dla upowszechnienia i wyróżnienia szczególnie wybitnych dzieł i osiągnięć twórczych". Oczywiście, nie mam zamiaru kruszyć kopii w obronie wyróżnionych — przy tym termin ten — obrona — użyty jest w takim znaczeniu, jakie nadaje mu się przy „obronie" pracy naukowej, daleki jestem także od sugerowania kandydatur na następny rok, chociaż niektórzy „praktycy" przy takich okazjach lubią układać plany dziesięcioletnie nawet. nie mogę jednak uwolnić się od obowiązku skomentowania tego faktu. Komentarz musi być w tym wypadku potraktowany jako część składowa, niezbędna, bynajmniej nie marginesowa.

Należy cieszyć się z powodu owych pierwszych nagród. Prorokuję im dużą przyszłość, sądzę, że odegrają poważną rolę, użyjmy nie najlepszego słowa w — mobilizowaniu naukowców, działaczy i twórców w zakresie rozmaitych sztuk. To przecież chyba prawda, że zainteresowanie Łodzi swoim własnym województwem nie jest wielkie, powiem więcej, to zainteresowanie bywa niekiedy wprost kompromitujące. Wystarczy czytać łódzkie gazety.

Lecz trzeba chyba będzie w przyszłości uniknąć niepotrzebnej skromności. Nagrody w ciszy powstały i w gruncie rzeczy w ciszy zostały rozdane. Mam na myśli fakt znany — nie były szeroko zapowiedziane, nie towarzyszył im żaden poważniejszy ruch w opinii miasta i przede wszystkim województwa.

I jeszcze jedna uwaga. Pamiętamy ile szumu, dyskusji, kontrowersji, ostrych słów, wyjaśnień, spowodowały doroczne nagrody miasta Łodzi. Cokolwiek by o tym powiedzieć — chodziło o charakter tych nagród, o ich rolę w rozwijaniu dzisiejszego i przyszłego życia kulturalno-umysłowego miasta. Myślę, że podobna dyskusja powinna rozwinąć się i wokół nagród wojewódzkich. One muszą podlegać ocenie szerokiej opinii. Może choćby dlatego, że budzą pewien niepokój, gdyż przede wszystkim dotyczą prac związanych z przeszłością nie interesujących szerszy ogół, lub przynajmniej taki kierunek sugerują. Czy słusznie?

Aby na to pytanie odpowiedzieć, potrzebna jest właśnie dyskusja. Może właśnie podczas wymiany zdań, otwartej, szerokiej, zostanie w pełni dostrzeżony trud nauczyciela wiejskiego, wieloletni i współczesny, może zostanie dostrzeżony trud pisarza, czy dziennikarza, (pomyślmy przez chwilę o łódzkim radiu), który przemierzył wzdłuż i wszerz nasze województwo i dobrze mu się zasłużył, albo i prelegentów, którzy z żywym słowem od szeregu lat docierają do najbardziej zapadłych zakątków ziemi łódzkiej. Istnieją także cenne inicjatywy regionalne, pisma i wydawnictwa w Łęczycy, Piotrkowie, Pabianicach. Wszystko to oznacza ruch kulturalny we współczesności i warte jest przedyskutowania. Nie będzie chyba źle, jeżeli waszemu — w tym wypadku wojewódzkiemu — mecenasowi dopomoże opinia społeczna.

HENRYK ANDERS

Jest taki dom...

Zespół teatralny. Zdj. — Fogiel

Jest taki dom w samym środku miasta.

Od strony dworca wyziera zza drzew ponurym, ceglanym masywem. W wąwozie ulicy Traugutta straszy z daleka obrywem ściany, szczerbatym pozorem ruiny. Dla dopełnienia obrazu naprzeciw panoszy się skład śmieci, przepraszam, składnica złomu. W mieście pracy ceni się bazę, a nie chimery nadbudowy.

Nad wejściem do gmachu wisi szyld godny Wielkiego Kłaja. Poniżej — kolumna tabliczek, tyle właśnie instytucji znalazło tu przytulisko. Można by powiedzieć: koncentrat kulturalny. Bo zgadliście już chyba. Chodzi o Łódzki Dom Kultury — popularny „Ełdek".

Pięć działów Domu obsługuje ponad 100 tysięcy ludzi, z pomieszczeń i urządzeń gmachu korzysta rocznie około pół miliona. W sezonie panuje tu ruch jak w „Delikatesach". Ale teraz wakacje. Niesamowite lipcowe upały odstręczyły niechybnie najzagorzalszych sympatyków.

— Ależ, skąd? — mówi pani Józefa Szarowska, kierownik działu artystycznego. — W naszym dziale nie ma przerwy, czeka nas przecież akademia lipcowa. Od jutra...

— Proszę pani, proszę pani — wbiega podniecony młodzieniec i wpada w pół słowa — oni nie chcą brać zwolnień.

— Jak to nie chcą, dlaczego nie chcą?

— Boją się, mówią, żeby to załatwić urzędowo.

— Trudno, musimy to załatwić urzędowo.

— Ale jest ich ze trzydzieści osób.

— Wszystko jedno, musimy im załatwić. Oto ma pan — zwraca się do mnie — przedsmak akademii. Pan nie wie, o co chodzi? Przewidujemy, że nasze zespoły dadzą w tym czasie osiem występów. Żeby wszystko przećwiczyć, musimy robić próby dwa razy dziennie. Musimy więc zwolnić z pracy niektórych członków chóru i baletu. W zakładach patrzą na to, oczywiście, krzywo. Oni mają plan, a ci się bawią. Zobaczy pan, jaka to zabawa: próby od rana do dwunastej i od czwartej do dziesiątej wieczorem. Tak będzie od jutra co dzień. Na te upały. Otóż nasi ludzie, nie wszyscy, panicznie boją się swoich dyrekcji i nie chcą sami zanosić zaświadczeń.

Idziemy na drugie piętro, na próbę chóru. Kompletu nie ma, ale i tak śpiewa ponad 60 osób. Śpiewają dobrze, nic dziwnego, przecież to wyszkolony zespół, który zbierał już zasłużone sukcesy, nawet za granicą. Ale dyrygent, pan Edward Pągowski, nie wydaje się zadowolony. Przerywa, nuci, pohukuje czasem na tego i owego.

Wyciągam na rozmowę pana Leona Rogalskiego, przewodniczącego zespołowego samorządu. Przyłącza się kilka osób — najstarsi członkowie zespołu. Mówią jeden przez drugiego, rozpalają się, wspominają, entuzjazmują, żalą. Mówi pan Wacław Szwarc, z zawodu kierowca samochodowy, w zespole — były przewodniczący samorządu i najaktywniejszy entuzjasta. Mówi pani Stefania Studzianna, jedna z założycielek chóru, świeżo upieczona mężatka: wybrała oczywiście kolegę po głosie.

— Zorganizowaliśmy zespół w 1953, a już w pół roku później otrzymaliśmy drugą nagrodę na ogólnopolskich eliminacjach w Warszawie. Pan Pągowski dyrygował wówczas kilkusetosobowym chórem w Hali Mirowskiej.

— Jest nas razem osiemdziesiątka, ze „starych" pozostało trzydzieści osób.

— W 1957 daliśmy trzy koncerty w Olsztynie. Śpiewaliśmy dla uczestników Międzynarodowego Rajdu Motocyklowego. W jednym z belgijskich czasopism zamieszczono pochlebną wzmiankę a pod zdjęciem napisano, że występował znakomity zespół „Śląsk".

— We Wrocławiu śpiewaliśmy w przejeździe na dworcu. Zebrały się tłumy i biły brawo na cześć „Mazowsza".

— Mile wspominamy zeszłoroczne winobranie w Zielonej Górze. Tylko podróż była makabryczna. W zatłoczonych wagonach dwie noce pod rząd, tam i z powrotem, bo rano trzeba było iść do pracy.

— Nie chcieliśmy brać zwolnienia z pracy. Żyjemy w ciągłym strachu przed redukcją. Nie, żeby ktoś się specjalnie na nas zawziął, ale dla dyrekcji to niewygodne. Stale próby, występy, wyjazdy. Dla świętego spokoju zwalniamy się na poczet urlopu. Czy tak być powinno? Jeszcze nigdy nie korzystaliśmy z urlopu w lipcu, bo akademia. A jak komu wypada w planie lipiec, to na sierpień nie zamienią.

— W tym roku mieliśmy prawie wszystkie niedziele zajęte. Żartujemy, że taki to los artysty. Tylko że w „Mazowszu" ustalono limit — 40 koncertów rocznie, nie, nawet ostatnio zmniejszono na trzydzieści. Za występy dodatkowe płaci się specjalnie. My, amatorzy, już dawno przekroczyliśmy tę normę. Ale kto o nas w Łodzi pamięta: prasa, radio, władze? Przypominają sobie, gdy trzeba załatać dziurę w imprezie.

— Zaproszono nas niedawno na Dni Krakowa. Gwarantowano nocleg i wyżywienie. Niestety. Rada Narodowa nie miała pieniędzy na koszty przejazdu. I zostaliśmy, a zespoły związkowe pojechały.

— Tak. Lepiej było przy związkach. Ktoś się o nas troszczył. Łatwiej było o zwolnienie z zajęć, mieliśmy wczasy, bilety do teatru. Zdolniejszym zakłady dawały stypendia.

— A pamiętacie bal maskowy?

Mówi pan Pągowski:

— Nie jest dobrze, bo nie ma czasu na przygotowanie nowego repertuaru. Ciągle tylko próby i próby przed występami. Zespół powinien czekać z utęsknieniem na koncert, a my wpadamy w rutynę. Dla ruchu amatorskiego to zabójcze.

Mówi pani Szarowska:

— Staramy się niby oddziaływać wychowawczo. Ale jak? Dostajemy zaproszenie w teren. Mają przysłać dwa samochody, przyjeżdża jeden. Tłumaczą się, usprawiedliwiają, jakże im odmówić. Wszystko się tłoczy: zespół, kapela z instrumentami. Przez trzy godziny dziewczęta siedzą u chłopców na kolanach. I bądź tu moralistą... A potem, po występie — murzyn zrobił swoje — często trzeba błagać o ten sam samochód na drogę powrotną.

— Na dokładkę grasuje tu „Film Polski". Kilka dni temu szukali ładnie zbudowanych dziewczynek na statystki. Wczoraj przychodzili znowu, chcieli wyłowić parę dziewcząt, żeby występowały w kostiumach kąpielowych gdzieś na Mazurach. Nie mogą zrozumieć, jak to przeszkadza w pracy z zespołami amatorskimi.

Chór zaczyna śpiewać od początku tę samą piosenkę o Marysi, która w pogodny wieczorek... Idę dalej.

W sali teatralnej trwa próba zespołu lalkowego. Troje młodych ludzi, mężczyzna i dwie kobiety, przerabia króciutką scenkę na tle skromnych dekoracji. Nie ma podium i kobiety muszą wspinać się na palce, by wystawić lalki ponad rusztowanie przesłony.

Idzie im niesporo. Przez chwilę lalki poruszają się żwawo, ale marnieją palce i aktorzy zdejmują rękawice, pocierają obolałe przeguby dłoni. Widać, że dopiero raczkują.

Reżyser, pani Anna Golewska, chwali ich jednak. Rzeczywiście, to dopiero początki, ale cały siedmioosobowy zespół pracuje z zapałem. Nawet scenografię i projekty lalek opracowują sami.

— To dziwne, gdzież tu jest pole do wyżycia się dla amatorów?

— Ach, tak się tylko zdaje, oni się świetnie bawią. Być może, są zbyt nieśmiali, by uczestniczyć w zespole dramatycznym. Przypuszczam, że praca zawodowa nie daje im wielkiej satysfakcji, szukają w tym chyba rekompensaty. A to naprawdę doskonałe „hobby".

Pani Golewska jest reżyserem zawodowym. Przyszła do ŁDK, ponieważ ma tutaj możność eksperymentowania. Nie uznaje mianowicie sztuk dramatycznych w teatrze lalkowym, dopuszcza najwyżej baśń. Ale najlepiej odpowiadają jej małe formy.

— Robimy składankę — wyjaśnia. — Będzie to szereg krótkich, zwięzłych anegdot, coś jakby dowcip z pointą. Nazwałam to „Parady". W szesnastym czy siedemnastym wieku paradami nazywano krótkie scenki przed kurtyną, przed rozpoczęciem właściwego przedstawienia w teatrzyku jarmarcznym.

— Następny program będzie również estradowy. Może zrobię „Zieloną gęś". Bardzo bym chciała coś z dziedziny czystego nonsensu, jak w tej historyjce o koniu w karczmie. Tylko boję się publiczności...

Na dole, w sali kolumnowej ćwiczy balet. Ćwiczą jak zawodowcy. Drążek, pierwsza pozycja, druga pozycja. Ręka, nie tak, jeszcze raz. Wycierają spocone czoła, biegną pod prysznic, wracają, nacierają podeszwy pantofli. Piąta pozycja. Jeszcze raz. Parami dokoła sali. Raz, dwa, trzy. Teraz sami chłopcy. Trzy razy obrót i klęk. Jeszcze raz.

Po likwidacji dawnego zespołu „Strzelczyka" zostało osiem par. Rezerwę stanowi kilku nowicjuszy. Prowadzi choreograf, pan Stefan Dowgird, akompaniuje przysięgły wielbiciel zespołu, inż. Wacław Sztattler, pracownik Elektrowni.

Zaczepiam najbliższą z odpoczywających dziewcząt. Pani Janina Jerzak pracuje w zespole od września. Zgłosiła się na skutek ogłoszenia w „Expressie". W cywilu jest uczennicą XI klasy liceum. Lubi bardzo taniec i śpiew, ale wybiera się na filologię polską.

Pani Małgorzata Lingen

(Dokończenie na str. 8)

Nasza szkółka

zamknięta

Belfer na urlopie

Paskudny wieczór, siąpie deszcz. Ale we wnętrzu kawiarni „Mokka" zacisznie i przytulnie. Pluszowe dywany tłumią odgłos kroków, lustrzane ściany odbijają dyskretne, przyćmione światło kandelabrów, połyskują tafle gęsto okupowanych stolików.

Prowincjonalny nastrój powagi, towarzyszący zwykle wieczornym spotkaniom miejscowego high life'u.

Z rzadka rzucone głośniejsze słowo, czy śmiech którejś z pań, mącą na moment monotonny rytm melodii, płynącej z estrady. Potem znów półszepty.

ZEMSTA PROWINCJI

Elżbieta jest młodą, naiwną dziewczyną, nie zdającą sobie sprawy ze społecznych konsekwencji historii, w którą została wplątana. Bawi ją nawet rola „bohaterki dnia", cieszy się, że jest w centrum uwagi, że mówi się o niej...

Tekst i zdjęcia:
JULIAN BRYSZ

Nagle przy jednym ze stolików daje się zaobserwować znaczniejsze ożywienie. Zaciekawieni sąsiedzi spoglądają w kierunku przystojnej blondynki, starszego siwiejącego pana i 2 czy 3 młodych mężczyzn. Spojrzenia koncentrują się na dziewczynie. Niespodziewanie zapada cisza, nawet orkiestra przestaje grać.

Blondynka podnosi się i wystudiowanym krokiem przechodzi przez salę w kierunku szatni. Wszystkie głowy odwracają się za nią. Jest na co popatrzeć...

Za chwilę na salę powraca normalny nastrój. Orkiestra rozpoczyna znów swój senny repertuar.

Tymczasem dziewczyna wkracza po chwili na salę ubrana w futro. Wspina się oto na krzesło, potem na uprzątnięty zawczasu stolik, jednym ruchem zrzuca z ramion futro. Jest zupełnie naga. Powolnym ruchem zgrabnie wyprostowana, obraca się wokoło na stoliku w takt melodii.

Przygodni widzowie kamienieją. Ale orkiestra nie przestaje grać. Muzykanci siedzą za filtrem i nie widzą sceny. Trwa to wszystko kilkanaście sekund, po czym dziewczyna zeskakuje ze stolika, kuli się pod futrem i ucieka.

* * *

Pani mecenas C., tutejszy adwokat, opowiada:

„Wróciłam właśnie z mojego urlopu w Krynicy, dokąd jeżdżę każdej wiosny. Tego samego dnia byłam na przyjęciu imieninowym u znajomych, gdzie po raz pierwszy usłyszałam o historii która miała się zdarzyć w „Mokce". Całe towarzystwo było poruszone. Wszyscy znali już przebieg niedawno zaszłego „wypadku", niektórzy słyszeli podobno o nim od naocznych świadków. Fakt, że byłam w towarzystwie jedyną osobą, która z racji nieobecności w mieście o niczym nie wiedziała, skłaniał wszystkich do dodawania coraz to nowych szczegółów do tej pikantnej historii. M. in. dowiedziałam się wówczas, że dziewczyna za swój wyczyn miała dostać od owego siwowłosego partnera 3.000 zł.

* * *

W jednym z czerwcowych numerów „Dziennika Łódzkiego" na stronie ogłoszeniowej ukazał się pokaźnych rozmiarów anons, zamknięty w ramce. Tekst brzmiał:

„Przepraszam panią (tu następowało imię i nazwisko) za pomówienie, jakoby w marcu br. w kawiarni „Mokka" rozebrała się do naga za co miała otrzymać 3.000 złotych.

(podpis przepraszającego)".

Przy bufecie „Mokki" mówi się o samych interesujących sprawach...

Tyle wiedzieliśmy na początek. Ogłoszenie należało raczej do niecodziennych, postanowiliśmy więc sprawdzić co się za nim kryje. Nie sugerowało ono zbyt wiele na temat samej sprawy, natomiast dawało dużo do myślenia o „kawiarni", w której taki wypadek mógł się zdarzyć.

Konfrontacja nie potwierdziła naszych przypuszczeń, o czym czytelnik mógł przekonać się już na wstępie. Lokal to nobliwy, taki tamtejszy „Grand", gdzie „życie" jeśli płynie, to raczej podskórnym nurtem. Każda z zapytanych kelnerek odpowiadała, że na jej dyżurze nic takiego nie było. Ale zarumienione buziaki i uśmieszki towarzyszące rozmowie kazały się domyślać, że chcą coś przed nami ukryć. Nie udało się nam jednak ustalić, którego z marcowych dni dokonał się wspomniany „strip-tease".

„Nie udało się ustalić dnia, kiedy fakt miał miejsce — mówi p. mecenas C. — Od tego właśnie zaczynałam przygotowania do sprawy, którą powierzyła mi zrozpaczona matka Elżbiety.

Miałam występować w procesie o zniesławienie dziewczyny, o której całe miasto mówiło, że rozebrała się do naga w publicznym miejscu. Proces przeciwko komu? Oglądałam kiedyś film „Proces przeciwko miastu", panowie sobie na pewno przypominają. Znalazłam się w podobnej sytuacji".

Wszyscy „naoczni" świadkowie zniknęli nagle jak kamfora.

* * *

Tymczasem dzieci wracające ze szkoły wytykały Elżbietę palcami, szwagier chciał się rozwodzić z jej siostrą, pochodzącą z „takiej" rodziny, całe miasto, gdzie życie skupia się na jednej „pryncypalnej" ulicy szeptało... szeptało...

Bezlitosna i żądna sensacji opinia małego miasta dorobiła dziewczynie rodowód. Podobno — mówiono — ciotka jej przed wojną wyskoczyła nago z okna jednego z łódzkich hoteli, gdy nakryto ją „in flagranti". Podobno — mówiono — milicja zakończyła już zbieranie dowodów, a prokurator wszczął postępowanie. Będzie proces o obrazę moralności!

Tymczasem ani w milicji, ani w prokuraturze żadnych dowodów nie gromadzono.

* * *

Tramwajem o godz. 22.09 Elżbieta wracała z koleżanką z teatru. Wtedy właśnie człowiek w mundurze MPK powiedział tak głośno, że słychać było w całym wagonie: „Patrzcie, to ta, co się rozebrała do naga za 3.000".

Plotkę „złapano za rękę", a jej nosiciela podano do sądu.

Oskarżony tramwajarz doszedł z powodem do ugody, dał ogłoszenie do gazety, i zapłacił koszty procesu.

Był to proces typowo prestiżowy, oskarżonym stał się pierwszy z brzegu. Nie wyjaśniono nawet, kto puścił plotkę i z jakiego powodu. „Elżbieta jest bardzo ładna" — powiedziała nam jedna z jej szkolnych koleżanek. Czy to aby nie dostateczne wyjaśnienie?

Gdybym był w skórze pani mecenas C. nie poczytałbym sobie tej sprawy za sukces. Ona też pewnie tak uważa.

Tu był potrzebny „proces przeciwko miastu".

Chciałoby się, żeby nasz artykuł stał się początkiem postępowania dowodowego w takim właśnie procesie.

* * *

Elżbieta przez cały czas trzymała się dzielnie. Nie chciała porzucać pracy, ani uciekać z miasta, które wzięło ją na języki.

Zastaliśmy ją w domu nad miską pełną mydlin. Ucieszyła się bardzo, że chcemy jej zrobić zdjęcie i pisać o niej „do gazety".

Ma 20 lat i pracuje jako pielęgniarka w jednym z tutejszych zakładów. Że jest bohaterem krążącej po mieście historii, dowiedziała się chyba ostatnia, od matki. Po usłyszeniu z ust matki „całej prawdy" nie przejęła się zbytnio.

Wydawało mi się przez chwilę, jakby traktowała całą sprawę na wesoło, ale nie jest to poza czy chęć zaimponowania „prasie". Elżbieta jest dziewczyną prostą, pozbawioną na szczęście tego, co nazywa się często „bogatym życiem wewnętrznym".

Całą sprawę przeżyła za dziewczynę matka, przełożona pielęgniarek Pogotowia, osoba o nieposzlakowanej reputacji. Dopiero zachowanie matki, atmosfera procesu, stremowały nieco dziewczynę. W jej dużych, dziecinnych oczach zaczęły pojawiać się łzy.

Nie śmiała przez dłuższy czas odwiedzać kawiarni, chociaż dotychczas bardzo lubiła tam chodzić. Brakło jej towarzystwa, straciła możliwość wesołego spędzenia czasu. Pozostało tylko kino i ulubiony aktor De Sica.

Co do siwowłosego partnera z kawiarni, to mój kuzyn — wyjaśniła na zakończenie.

* * *

Bardzo przepraszamy Czytelników za przytoczenie na wstępie opisu zdarzenia, którego — powiedzmy to sobie wreszcie — nigdy nie było.

Musimy wyjaśnić: cały opis wypadków owego wyimaginowanego wieczoru nie wziął się z naszej fantazji. Nie stać nas na to. Zanotowaliśmy to „ze słyszenia" ze wszystkimi detalami. Fantazję wykazali obywatele miasta. Nic się nie stało... A złośliwe języki, potworna plotka, która może odebrać dziewczynie cześć, zaszargać opinię na całe życie?

Elżbieta jest młodą, naiwną dziewczyną, nie zdającą sobie sprawy ze społecznych konsekwencji historii, w którą została wplątana. Bawi ją nawet rola „bohaterki dnia". Cieszy się, że jest w centrum uwagi, że mówi się o niej.

A gdyby trafiło na kogoś innego? Nierzadko takie wypadki kończą się samobójstwem. Zaszczucie człowieka przez opinię, prowincjonalna dulszczyzna wciąż nie przestaje nas straszyć.

Elżbieta jest ładna, pociągająca, wesoła. Mimo ciężkiej pracy lubi się bawić. Jest „kimś" — odróżnia się tym od szarego tłumu. A tego się nie przebacza. Prowincja się mści.

Żona jednego z miejscowych lekarzy też jest „kimś". Więc właśnie dlatego wszyscy widzieli ją otrutą na katafalku w tutejszym kościele, dopóki zdrowa i opalona nie wróciła z urlopu.

Skandal wokół Elżbiety wkrótce wygaśnie, tak jak zostawiono w spokoju doktorową. Kto następny wejdzie „na tapetę"?

Obywatele miasta Pabianic, czcigodnego grajdoła na „dalekiej prowincji" — 16 km od Wielkiej Łodzi, spieszcie się z nową „rozróbką".

Macie coś lepszego do roboty?

ODYS

JERZY WILMAŃSKI

Po morzach niepoznanych wśród zdradliwych skał
poprzez epoki biblijne smutny Odys się błąka
Nie zawróci go passat, nie roztrzaska go szkwał
nie zwabi go nigdy Samarii zielona łąka.

Przez cieśniny skaliste mimo śpiewów syrenich
będzie płynął na zachód albo może na wschód
i niepomny już innej ponad morską zieleni
Morzem Martwym i Wiecznym będzie statek swój wiódł.

W porywiste wichury i zamglone poranki
w jakieś sztormy zaziemskie obłąkane i nagłe
przytulony do steru jak do czułej kochanki
płynie Odys żydowski z żółtą gwiazdą nad żaglem.

Nowinki

Miłośników samochodów zainteresuje zapewne wiadomość, jakie samochody można obecnie kupić w „Motozbycie". Otóż, jak się dowiadujemy, z importowanych wozów, sprzedawanych wyłącznie za gotówkę, można kupić jeszcze popularne niemieckie P-70 w cenie 65.000 złotych (dostawa w ciągu 2—3 tygodni) oraz radzieckie górnozaworowe „Moskwicze" 407 w cenie 115 tysięcy złotych (dostawa w ciągu 5—8 tygodni). Ponieważ obowiązuje system przedpłat w pełnej wysokości ceny wozu, a samochody wydawane są w kolejności dokonanej wpłaty, terminy dostaw mogą ulec zmianom. Czeskie „Skody-Octavie" i „Octavie-Super" zostały wyprzedane do końca roku i obecnie otrzymują je ci, którzy dokonali przedpłat.

Wozy krajowe sprzedawane są zarówno za gotówkę jak i na raty, z tym, że przydzielone dla Łodzi „Syreny" (72.000 zł) w sprzedaży ratalnej zostały wyprzedane do końca roku; są one jeszcze do nabycia za gotówkę, z dostawą w III kwartale roku bież., aż do wyczerpania limitu. „Warszawy" (120.000 zł) i „Mikrusy" (50.000 zł) można dostać zarówno za gotówkę jak i na raty „od ręki".

☆

„Mikrusy", które ostatnio nadeszły do Łodzi, są już malowane na różne kolory: zielony, beżowy, czerwony, niebieski.

Dlaczego?

... nie można nigdzie kupić akumulatora i paska klinowego do „Fiata" 600?... Skoro robi się akumulatory i paski klinowe w kraju do innych wozów, dlaczego „Motozbyt" nie pomyślał o posiadaczach „Fiatów"?

☆

... nikogo nie interesuje nawierzchnia ulicy Zachodniej, gdzie w niedawno położonej kostce porobiły się doły?... Szczególnej uwadze polecamy „rowy strzeleckie" przed posesjami nr nr 54 i 76...

☆

... w sklepach „Motozbytu" nie ma pojedynczych kluczy?... Jeśli ktoś, przypuśćmy, zgubi jeden klucz od kompletu, to albo musi obywać się bez niego, albo kupić cały komplet...

Sprostowanie

W naszym pierwszym „Kąciku" pytaliśmy, dlaczego w „Motozbycie" nie ma od szeregu tygodni ogumienia wymiaru 6.00-16. „Chochlik drukarski" sprawił, iż wydrukowano 3.00-10. Oczywiście chodziło nam o popularne ogumienie do „Warszaw" i szeregu innych wozów. Za omyłkę przepraszamy, ale opon 6.00-16 nie ma w dalszym ciągu.

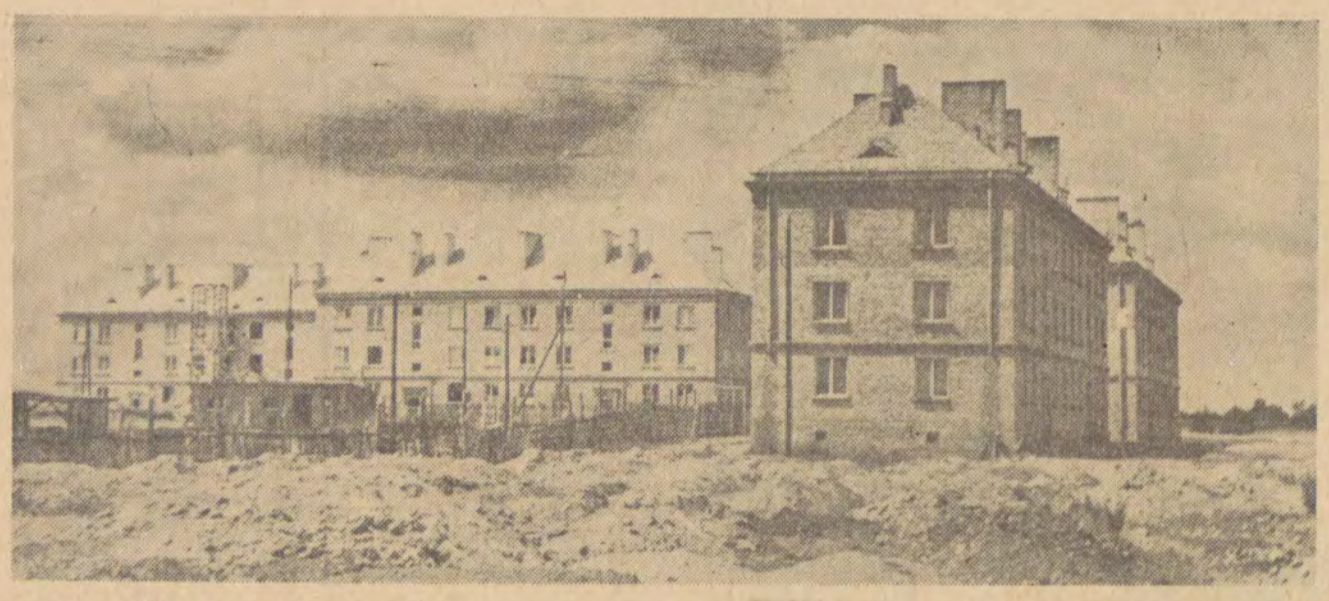

Nowe bloki dla górników

Zdjęcia: W. MACHEJKO

KAZIMIERZ ZYGMUND

Reporterskie notatki

W dawnych czasach Łęczyca słynęła z sejmików szlacheckich. Później z wesołych figlów diabła Boruty. A współcześnie miasto stało się popularne dzięki rudzie żelaznej. Lecz wydaje mi się, że jeszcze długo ulubionym tematem opowiadań łęczycan pozostanie sprytny diabeł — birbant Boruta.

Gdy zwiedzacie Kolegiatę Tumską, robotnicy pracujący przy zabezpieczeniu zabytków chętnie porzucą na chwilę łopaty, by pokazać wam „autentyczne" odciski diabelskich palców. Możecie też wysłuchać pełnej biografii diabła, kilku mnichów i rycerzy.

Podczas zwiedzania tego blisko tysiącletniego zabytku miałem możność wysłuchać sporu, jaki wiedli ze sobą dwaj chłopi. Jeden z nich podawał w wątpliwość historyjkę o pochodzeniu śladów na murach Kolegiaty, drugi był święcie przekonany o tym, że to właśnie Boruta targnął się na kościół.

Diabelskie, czy nie diabelskie? — oto jest pytanie.

I pomyśleć, że nikomu nie przyszło do głowy, aby tę zagadkę rozwiązać za pomocą daktyloskopii, metody stosowanej z powodzeniem w kryminalistyce.

Ale dość żartów. Już całkiem serio pragnę odnotować znacznie poważniejszy w skutkach spór, a mianowicie: czy Kolegiata ma zostać obiektem sakralnym, czy przeznaczyć ją na Muzeum Romańskie?

Ponieważ strony są nieustępliwe, spór trwa latami. Dziennikarze zapisali już niejedną przysłowiową wołową skórę, aby sprawę ruszyć z miejsca — lecz nadaremnie.

A tymczasem mury Kolegiaty pękają. Woda podmywa już fundamenty. Prace zabezpieczające nie posuwają się naprzód. Tak więc to, co nie udało się Borucie kilka wieków wstecz — dziś przy pomocy ludzkiej jest bliskie realizacji.

Jeden z najstarszych zabytków kultury polskiej niszczeje i może niebawem rozpaść się w gruzy.

Na wstępie powiedziałem, że współczesna Łęczyca znana jest z rudy żelaznej. I to twierdzenie odpowiada prawdzie. Po dokonaniu wytopu rudy łęczyckiej w Nowej Hucie, okazało się, że jest to ruda najlepsza, jaką posiadamy w kraju.

Tak więc okres niepewności i oczekiwania dla łęczyckich górników minął bezpowrotnie.

Poprawiająca się z dnia na dzień organizacja pracy stworzyła warunki, które pozwalają załodze na ubieganie się o prymat w górnictwie rud żelaznych.

Warto podkreślić, że w tym roku górnicy wydobędą 80 tysięcy ton rudy, a w ciągu najbliższych lat wydajność wzrośnie, gdyż wybuduje się dalszych osiem kopalni.

Ale mnie interesuje również miasto, i wpływ na jego rozwój nowego środowiska. Po dokładnym spenetrowaniu miasta ustaliłem, że w jego centrum w ciągu czterech lat powstał jeden tylko obiekt godny zanotowania. Jest to prywatny sklep kapeluszy damskich. To nie żart. Łęczyca, jeżeli chodzi o usługi handlowe i urządzenia komunalne stoi niżej, niż przed wiekami Sieradz, który jak wiadomo był skanalizowany i posiadał dobrze funkcjonujące wodociągi.

Niestety, nie można tego powiedzieć o dzisiejszej Łęczycy. I dlatego zapewne mówią ludzie o swoim mieście, że Łęczyca to miasto paradoksów. Miasto buduje nowoczesne kino panoramiczne i jednocześnie nie ma wody nawet w szpitalu. To miasto, gdzie ukazuje się interesująco redagowany miesięcznik kulturalny i miasto, w którym restauracja nie ma talerzy. Tak, tak, nie omyliłem się, chodzi o talerze.

Wchodzę do „reprezentacyjnej" gospody. Zamawiam sałatkę pomidorową. I otrzymuję ją na jednym talerzu, chociaż konsumentów jest dwóch. Zwracam uwagę bufetowej, że to nietaktowne, niehigieniczne. Bufetowa dziwi się: — U mnie w domu wszyscy jedzą z jednej miski i są zdrowi. Zresztą, jeśli się panu nie podoba, to przecież... itd.

Argument był niewątpliwie druzgocący.

W innych dziedzinach handlu sytuacja nie wygląda lepiej. W sklepie tekstylnym można dostać tylko towary najgorszego gatunku. Na półkach leżą wygniecione, brudne blezery, swetry i koszule. Co robi kierownik? Dziwi się, że ludzie nie kupują, że spadły obroty w porównaniu z rokiem ubiegłym.

Jak wiadomo ziemia łęczycka należy do najbardziej urodzajnych w kraju. I może dlatego właśnie — na zasadzie paradoksów — nie można tam było do niedawna dostać chleba. Dlaczego? Bo kierownikiem piekarni był sadysta, który chciał wygłodzić miasto. Worki z mąką leżały spokojnie w magazynach, z której pożytek miały jedynie szczury.

Usunięcie sadysty ze stanowiska kierownika mieszkańcy przyjęli z ulgą. Żeby jeszcze poprawiło się zaopatrzenie w mięso — wzdychają łęczycanie.

I jeszcze jedna historia.

Sądzę, że każdy człowiek o zdrowych zmysłach nie będzie negował potrzeby budowy szpitala dla miasta powiatowego, któremu przybyło dwa tysiące mieszkańców, pracujących w górnictwie. A jednak znaleźli się tacy — i to w Wojewódzkiej Radzie Narodowej.

Oto historia budowy szpitala łęczyckiego opowiedziana lapidarnie przez sekretarza Komitetu Powiatowego.

— W 1956 roku szpital miał być wybudowany „na pewniaka", lecz z bliżej nie ustalonych przyczyn przeniesiono budowę na rok 1957. Zaś w 1957 roku z przyczyn obiektywnych odłożono budowę szpitala na 1958 rok. Następnie na 1959 rok, a obecnie, sami przedstawiciele Wojewódzkiej Rady Narodowej wątpią, czy do budowy dojdzie w 1960 roku.

Tak oto przedstawia się perspektywiczny plan niedotrzymywania terminów przez pracowników Wydziału Zdrowia Wojewódzkiej Rady Narodowej odnośnie budowy szpitala w Łęczycy.

Komu się w grodzie diabła Boruty dobrze wiedzie?

Badylarzom. Zarejestrowali oni w tym roku 20 samochodów osobowych. A w ogóle z motoryzacją jest tutaj najlepiej. Rzadko się już zdarza by chłopi przyjeżdżali do miasta pociągiem.

Przed Prezydium, czy Sądem Powiatowym — parada motocykli. Takich, co przyjeżdżają wozami do miasta jest coraz mniej, chyba że na targ.

Nie odnotowałem jeszcze ważnego wydarzenia w życiu mieszkańców Łęczycy. Oto w tym roku zmniejszą się trudności z wodą. W tej chwili układa się rurociąg, który poprowadzi wodę ze studni głębinowych, wywierconych 5 kilometrów za miastem. Głowią się teraz radni od kogo wydostać pieniądze na te inwestycje, bo fudusz przyznany na ten cel, okazał się za mały. I tym razem oczy wszystkich kierują się na górników

Ślady palców diabła Boruty.

SAMOBÓJCY

ANDRZEJ MAZUR

WIEK SAMOBÓJCÓW
(dane z r. 1956)

do lat 14	4
15—20	60
20—30	210
30—50	358
50—70	259
ponad 70	36

Może się wydać nieporozumieniem, że temat taki trafił do naszego cyklu. Z punktu widzenia psychologii, moralności istnieją bowiem w sprawie samobójstw przekonania zupełnie krańcowe. Powszechnie spotyka się sąd, że odebranie sobie życia jest rezultatem wyjątkowego samozaparcia, nieprzeciętnej odwagi. Samookaleczenie będące już o krok od samobójstwa ma nawet swego herosa w osobie Muciusa Sceavoli, cytowanie i często przywoływanego na kartach literatury pod swoim lub innym nazwiskiem. Ostatecznie dać sobie żywcem spalić rękę...

Równie lub może nieco mniej jest rozpowszechniony sąd nieco odmienny — że samobójstwo jest rezultatem zupełnego braku odwagi, kapitulacją przed trudnościami życiowymi, nieumiejętnością przetrwania ciężkich doświadczeń.

Do utrwalenia tych poglądów walnie przyczyniła się literatura, anegdota i legenda.

Trzecie stanowisko zajęli psychiatrzy: samobójstwo jest rezultatem choroby umysłowej denata. Może niesłusznie nazywamy to stanowisko trzecim. W gruncie rzeczy jest ono pierwszym stanowiskiem. Pierwszym obiektywnym, usiłującym wyjaśnić mechanizm powstawania decyzji samobójczej nie w kryteriach oceny moralnej, a z racji psychicznego procesu towarzyszącego powstaniu takiej decyzji.

Zdaniem psychiatrów w umyśle normalnym nie może się zrodzić zamiar odebrania sobie życia. I to bez jakichkolwiek wyjątków. Nawet w przypadku Ordona unicestwiającego się wraz ze swą redutą.

Tu i ówdzie stanowisko takie może wywołać protest. Nie tak dawno kreowaliśmy na bohaterów tych, którzy odbierali sobie życie w hitlerowskich katowniach, aby nie wydać współkonspiratorów. Protest wszakże znów będzie miał charakter oceny moralnej — ogólnospołeczne przekonania (że nie powiem mity) nie godzą tych dwóch pojęć: choroba umysłowa i bohaterstwo. A więc kwestia, jak rozumiemy chorobę umysłową — sprawa, o której mówiliśmy i do której będziemy mieli sposobność i obowiązek jeszcze wrócić. Jeżeli bowiem w dalszym ciągu chory umysłowo kojarzyć nam się będzie z jawnym głuptakiem lub obłąkanym furiatem, to musimy pamiętać, że przypadki te zajmują zaledwie 3 proc. w statystyce psychiatrycznej, a zważywszy, że są nierównie łatwiej wykrywalne niż np. opisywany w poprzednim artykule przypadek parafrenii — procent ich będzie efektywnie jeszcze mniejszy. Pozostała przytłaczająca większość chorych umysłowo to ludzie pozornie normalni, przeżywający wspólnie z innymi swoje wzruszenia i smutki, egoiści i altruiści, uprzejmi i ordynarni, bohaterowie i tchórze. I potencjalni samobójcy...

SPOSÓB ZAMACHU SAMOBÓJCZEGO
(dane z r. 1956)

powieszenie	568
otrucie	106
rzucenie się pod koła	66
utonięcie	63
rzucenie się z wysokości	47
inne	77

Wróćmy do tematu. Blisko tysiąc samobójstw rocznie, to niby nie tak wiele, w każdym razie trzykrotnie mniej niż przed wojną. Różnie zresztą próbowano ten fakt dyskutować, powołując go między innymi na dowód stabilizacji stosunków społecznych. Można, oczywiście, i tak, choć wydaje się, że istota współzależności jest gdzie indziej. W 1938 roku ujawniono 18.348 przypadków chorób umysłowych. Odpowiednio w roku 1956—39.600. Nie ma się co przy tym ze-

Dalszy ciąg na str. 8

Na trasie LENINGRAD—RYGA—MOSKWA

NOTATKI WCZASOWE

Byłem proszę państwa w Związku Radzieckim. Zupełnie normalnie i prozaicznie, z „Orbisem" na trasie Leningrad — Ryga — Moskwa. Nie zwiedzałem przedsiębiorstw ani instytutów naukowych, nie rozmawiałem z dyrektorami fabryk, ani z ministrami, nie prosiłem o wywiady, nie miałem nawet z sobą ani notesu, ani ołówka.

Czułem się absolutnie „jak w cywilu". Zwiedziłem Kreml i Mauzoleum, Peterhoff i Ermitaż. A poza tym łaziłem aż do zdarcia zelówek, aż do bólu w piętach po Newskim i po ulicy Gorkiego, po stacjach metro i po dalekich przedmieściach Moskwy i Leningradu, po sklepach i lodziarniach. Owszem, rozmawiałem z przygodnie spotkanymi ludźmi w wagonie restauracyjnym, w hotelu, na ławeczce w jednym z dziesiątków leningradzkich skwerków. No i jeszcze byłem w cyrku moskiewskim i widziałem Olega Popowa.

* * *

Jak wiadomo polscy turyści mają w świecie wyrobioną markę. Robią co mogą, by uzupełnić braki naszego handlu zagranicznego.

— No, a proszę ja pani, Związek Radziecki to istne Eldorado. Ciuchy i ciuszki idą jak woda. Na polski szyk tam lecą (podsłuchane w pociągu).

Niektóre walizki pęczniały więc od ciuchów i ciuszków a zapobiegliwe panie wiozły na 14-dniową wycieczkę tyle strojów, że usłużnym panom przy noszeniu walizek ręce ze stawów wyskakiwały. I na ich nieszczęście walizki przeważnie były równie ciężkie przy powrocie jak i przy wyjeździe. Stroje bowiem pojechały w obie strony a nie jak planowano — w jedną tylko. Postarał się o to radziecki przemysł i handel. Jedna z pań, która była w Związku Radzieckim przed dwoma laty teraz znów wiozła ciężką walizkę, pełna złości i zażenowania.

W sklepach na ogół wszystkiego pełno. Tłum leningradzki czy moskiewski nie różni się prawie niczym od tłumu warszawskiego czy łódzkiego Piszę prawie, bo nie spotyka się tak jak u nas skończenie eleganckich pań — od czubków szpilek poprzez wszystkie dodatki aż do nieskiego pasma włosów. Piszę prawie, bo przechodnie są ubrani może z mniejszym szykiem, ale już naprawdę barwnie a młodzież chyba w ogóle się nie różni. Czym młodszy wiek mijanych na ulicy mężczyzn, tym węższe spodnie, aż do zupełnie rurkowatych u bikiniarskich elegantów.

W Moskwie na Placu Czerwonym z jednej z wystaw GUM (Państwowy Dom Towarowy) spadło na nas objawienie. Takiej kolekcji pięknych, barwnych „szpilek" i innych modnych pantofelków jak na onej wystawie nasze panie w życiu nie widziały. Kupić nie można, ale hola, nie triumfuj jeszcze sceptyku. Można zamówić. W ciągu 3 tygodni warsztaty GUM wykonują każdy model. Były panie, które chciały przebłagać władze, by skróciły termin wykonania. Pantofelki z Moskwy to nie byle co, to stokroć więcej niż z Paryża. Bo jak wiadomo z Moskwy się wozi telewizory, ale pantofelki? — kto to słyszał.

O pięknie Leningradu wypisano już tyle i czyniły to takie pióra, że ja przez skromność tego czynić nie będę. Zastygły w swym klasycznym pięknie przecięty przepięknym Newskim Prospektem (co za deptak, równe 5 km długości) jest chyba najbardziej zintelektualizowanym miastem na świecie. W 3-milionowym Leningradzie jest 200 instytutów naukowo-badawczych i 155 tys. studentów. Tylu ludzi z książką ilu widziałem w Leningradzie nie widziałem jeszcze nigdy w życiu. W metro czyta co najmniej 1/3 pasażerów, na skwerkach czyta się masowo. Kierowca naszego autokaru czytał na każdym przystanku. Na każdym niemal rogu gabloty z gazetami, przy każdej czytający. Gazeta kosztuje tu 20 kopiejek, nie istnieje więc potrzeba oszczędzania Po prostu czekając na tramwaj czy na dziewczynę czytają. W księgarniach tłok, pełno kupujących i pełno oglądających. Tych, co miłośnie obmacują książki. Stoiska z książkami na każdym kroku. Na małych stacyjkach między Rygą i Moskwą stoiska z książkami oblegane są przez pasażerów w piżamach. Sam widziałem jak jeden z nich kupił wybór dramatów Szekspira. Przed moim przyjazdem ukazała się zresztą specjalna Uchwała Rady Ministrów o kolportażu i sprzedaży książek. Jak z niej wynika, rząd radziecki uważa, że nie jest jeszcze z tym dobrze.

* * *

Moskwa wywiera kolosalne wrażenie swoim ruchem i rozmachem. Na szerokich, 6-strumieniowych jezdniach mkną jak opętane całe chmary samochodów — przeważnie Wołgi i Moskwicze. W Moskwie z dużą energią rozwiązano problem komunikacji z myślą o dniu jutrzejszym. Tu i ówdzie przekopuje się podziemne przejścia dla pieszych.

Ale chyba większe wrażenie od strumienia samochodów robią tłumy na chodnikach. Na wielkich ulicach i małych uliczkach, w sklepach i w metro — wszędzie tłumy. Aż się wierzyć nie chce, że w Moskwie mieszka tylko 5 mln ludzi. Ale Moskwa to stolica wielkiego kraju. W Moskwie codziennie znajduje się ponoć ok. 2 mln przyjezdnych wyrzucanych z paszczy 8 moskiewskich dworców.

Klasyczny tytuł klasycznego reportażu o Moskwie brzmieć powinien — „Stare i Nowe". 10 anten telewizyjnych na starym, drewnianym, pokręconym na wszystkie strony domku. 30-piętrowe potężne wieżowce kąpiące od XIX — wiecznych ozdóbek, jakaś altanka z kolumienkami na dziedzińcu Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Uniwersytet Łomonosowa na Wzgórzach Leninowskich, gdzie supernowoczesne urządzenia naukowe sąsiadują z nie najbardziej nowoczesną architekturą. Ale każdy rok to co najmniej 5 lat postępu. Moskiewskie wieżowce to już stara epoka, nowe — to południowo-zachodnie dzielnice Moskwy. Przepiękna, barwna dzielnica Czeremuszki. Nowoczesne okna, barwne balkoniki, absolutna prostota. Po szerokich, asfaltowych jezdniach mkną strumienie wywrotek. Moskwa buduje się w tempie zupełnie niespotykanym. Nowe domy wdzierają się do podmoskiewskich wsi, wypierają jakieś stare składy, gruzy, wysypiska. A w przyszłości podobno centrum Moskwy ma zostać przeniesione właśnie w okolice Wzgórz Leninowskich.

Stare i Nowe. Wystawa osiągnięć Związku Radzieckiego 71 pawilonów 300 ha powierzchni, coraz to nowe pawilony — Akademii Nauk ZSRR elektroniki, radiotechniki, precyzyjne maszyny i kukurydza, która znajduje tu poczesne miejsce w oddzielnym pawilonie. Zakopcona rakieta, która wróciła z przestworzy kosmicznych i armeńskie owoce, których nie znam ani z widoku, ani ze smaku. W pawilonie elektroniki supernowoczesny robot i pokaz reakcji rozbicia jądra atomowego. Wiek już prawie XXI pawilon aż się prosi o lekką, stalową konstrukcję, o dużo szkła i tworzyw plastycznych. A tymczasem pawilon jest tradycyjny, szary, ozdobiony kiepskimi ornamentami.

* * *

Plac Czerwony ma jakąś bajkową scenerię. Baszty i wieżyczki kremlowskiego zamku po prawej, a na wprost cerkiew Wasyla Błogosławionego kolorowiutka jak z marcepana. Na Placu Czerwonym gigantyczny ogonek ludzki. Zaczyna się gdzieś koło czerwonego gmachu Muzeum, ginie w zimnym wnętrzu Mauzoleum Lenina — Stalina. Ludzie przyjeżdżają z całego Związku Radzieckiego. Stają w kolejce o 3—4 nad ranem. Mauzoleum zostaje otwarte o 12. Ale trzeba jeszcze przepuścić cudzoziemców, a to trwa co najmniej godzinę. I tak z dnia na dzień, z roku na rok, przez całe dziesięciolecia.

* * *

Nazywa się „Dieckij Mir" — czyli „Dziecięcy Świat". Ma 6 pięter i wyjścia na 4 ulice. „Dziecięcy Świat" jest rajem na 6 piętrach. W tym gigantycznym sklepie znajdziesz wszystko dla dzieci — piękne mebelki, ubranka, zastawy stołowe, aparaty fotograficzne, ale przede wszystkim zabawki, piękne i bajecznie tanie. W ciągu niedługiego czasu były tu trzy obniżki cen na zabawki. Piękny samochód z elektrycznym napędem kosztuje 30 rubli. Nakręcany tramwaj — 7 rubli. Piękna kolejka ze stacjami — u nas w komisie co najmniej 800 zł — za jedyne 100 rubli. A kegulki, które pieją i podskakują po 3 ruble sztuka. To już jest poza wszelką kalkulacją. Na tym nie można zarobić, do tego się dokłada. Wystarczy pospacerować po „Dziecięcym Świecie" i przyjrzeć się rozdziawionym buziakom dzieci i tatusiów, by zrozumieć, że są rzeczy, do których warto dokładać, że czasami obejść się można bez zysku.

* * *

Niedaleko Newskiego jest placyk z pomnikiem Puszkina. Obok znajduje się hotel „Inturista" pełny Amerykanów, Anglików, Francuzów, Finów, Polaków, Czechów i Bóg wie jeszcze kogo. Ot, cichy, przyjemny skwerek obok gwarnej ulicy. A wieczorem pod pomnikiem Puszkina spotykają się leningradczycy z cudzoziemcami. To nie są umówione spotkania, to po prostu tradycja, o której wiedzą leningradczycy i przychodzą dyskutować. W czasie mojego pobytu największą atrakcją była 30-osobowa grupa studentów kalifornijskich. Ci młodzi chłopcy skończyli fakultety języków słowiańskich, znali więc rosyjski. Wieczorem na skwerku wokół każdego Kalifornijczyka tłum leningradczyków. Dyskusje na całego! O różnych rzeczach — o stopie życiowej, o stypendiach, o filmach i Brigitte Bardot... Ale przede wszystkim o polityce. Polak słucha tych dyskusji po prostu z zażenowaniem. Męczyć cudzoziemca, i to cudzoziemca o zupełnie innych poglądach politycznych dyskusją na temat Adenauera czy dróg wiodących do komunizmu? U nas byłoby to niemożliwe. Owszem, można pogadać o literaturze, o sztuce, poprowadzić na dziewczynki, wstąpić na „jednego", porównać ceny, trochę popsioczyć. Ale o Adenauerze? A leningradczycy uprawiają ten sport. Dyskusje toczą się całymi godzinami.

Opuściłem kiedyś „plac boju" o 2 w nocy, a czterech amerykańskich studentów nadal trwało osaczonych na dyskusyjnych posterunkach. W Związku Radzieckim o polityce dyskutuje się na poważnie.

* * *

Dwie rzeczy zaskakują przybysza z Polski w Związku Radzieckim. Jedna z nich to czystość. Na stacjach konduktorka nie wypuści podróżnego z wagonu zanim nie wytrze poręczy. Cały wagon lśni od czystości. W każdym wagonie są dwie konduktorki, które cały czas krzątają się jak we własnym gospodarstwie. Na ulicach nie spotka się niedopałka. W Leningradzie dozorcy pracują w białych fartuchach i rękawiczkach. Co krok aluminiowe kosze na śmieci. Cała armia sprzątaczek pucuje je co pewien czas. Na stacjach metro i dworcach kolejowych olśniewająca czystość, mimo że przewijają się tam setki tysięcy ludzi. W każdym sklepie lodówka. Wszystkie towary są przeważnie paczkowane.

* * *

Druga rzecz, dosłownie, która zaskakuje to zaopatrzenie w żywność. W moskiewskich sklepach jest co najmniej 20 gatunków pieczywa — od bielutkiego jak śnieg począwszy, które my pamiętamy jedynie z opowiadań naszych rodziców. Setki rodzajów konserw — bardzo tanich zresztą. Przednie homary kosztują 6 rubli puszka. Specjalne sklepy z serami. W specjalnym sklepie 2-piętrowym naliczyłem 80 gatunków serów. Kiedy pytamy o kolejki odpowiadają nam jedynie pobłażliwym uśmiechem. Na pewno nie życzę sobie złego. A wszyscy sobie na wycieczce życzyliśmy, żeby sklepy w Warszawie i Łodzi były tak zaopatrzone jak sklepy w Moskwie. Życzyliśmy sobie również, by lody były także dobre i byśmy wreszcie na polskiej drodze do socjalizmu w równie dobry sposób rozwiązali stary jak PRL problem napojów chłodzących. Podczas największych upałów było pod dostatkiem gatunków napojów chłodzących — soki owocowe, pomidorowe, kefirki i mleczny szampan, woda sodowa za jedyne 5 kopiejek. Na każdym kroku automaty. Na stacjach zaopatrzenie świetne.

Na stacji między Brześciem a Terespolem Związek Radziecki żegna nas wielkim transparentem „Miru Mir". Odprawa celna bardzo łagodna. Celnicy intuicyjnie chyba wywęszyli handlowe niepowodzenia niektórych naszych turystów.

JACEK LEBEN

Pomnik Piotra Pierwszego w Leningradzie.

Plac Komsomolski w Moskwie.

Dokończenie ze str. 1

POLSKI TEXAS

tak kolosalnych ilości ropy naftowej (złoża na Podkarpaciu są już bardzo wyjałowione), ani nie nadaje się też do uprawy zbóż na wielką skalę.

Co prawda, Łemkowie potrafili tu gospodarować. Ich gospodarstwa były kombinowane — rolniczo-pasterskie, a całość miała charakter gospodarki naturalnej, o minimalnej towarowości. Efekty ekonomiczne dla całego organizmu gospodarczego Polski były znikome.

Ewentualni osadnicy z innych rejonów Polski nie nadają się do tego typu gospodarki. Po prostu nie są przyzwyczajeni do górskich warunków — stąd robotnik (najczęściej chłop z przeludnionych obszarów Rzeszowszczyzny pracujący przy budowie drogi) nie osiedli się tutaj, a po zakończeniu pracy wróci w rodzinne strony. Również i junacy z ZMS pobyt w Bieszczadach traktują czasowo — nie mają tu bowiem żadnych perspektyw.

Jedynym elementem, który potrafiłby prowadzić gospodarkę typu przedwojennego w Bieszczadach są Górale z Podhala. W chwili obecnej po całych Bieszczadach są rozsiane bacówki Górali, którzy wypasają tu owce i krowy, gdyż na przeludnionym Podhalu brakuje paszy.

Bace i juhasi w Bieszczadach to jedyni ludzie, którzy nie narzekają na twarde warunki bieszczadzkie. Obojętna jest im sprawa zaopatrzenia w żywność, oni i tak tych 6 miesięcy odżywiają się jedynie serem owczym, rzętycą i chlebem. Narzekają jedynie na wilki. Nie ma bowiem tygodnia, by ze stada wilki nie uprowadziły jednej owcy. Pół biedy jeszcze gdy juhasi znajdą jakiś ślad, np. ogon, po porwanej owcy — wówczas właścicielowi owcy PZU wypłaci odszkodowanie. W przeciwnym wypadku płaci juhas, który nie upilnował owcy, a wynosi to prawie tyle, ile miesięcznie mu płaci baca (juhas za 6-miesięczny sezon dostaje około 6 tys. złotych).

Byłem w dwóch takich bacówkach za Wetliną w stronę Berehów Górnych. W jednej był baca z Murzasichli, w drugiej spod Turbacza. Obaj wzięli mnie za turystę, toteż pierwsze pytanie jakie mi zadali brzmiało: „A po co pan tu przyjechał... Nie lepiej było do Zakopanego...?".

Grają tu nie tylko względy konkurencji, gdy bowiem powiedziałem Góralowi, że tu też jest ładnie popatrzył się na mnie — jak na kiepskiego wariata. Jego szowinizm lokalny był o tyle śmieszny, że przed nami rozpościerał się przepiękny widok na bajecznie zieloną połoninę, widok jakiego na skalnym Podhalu się nie zobaczy.

To jest w ogóle pierwsze i szalenie szokujące wrażenie z Bieszczad.

— Boże jak tu jest zielono — powiedziałem, gdy po raz pierwszy zobaczyłem Bieszczady. Trawa wysoka, zielona, soczysta, nie tknięta ani stopą ani kosą, nie ma sobie równej w całej Polsce.

Górale nie zachwycają się urokami Bieszczad, w pełni doceniają jednak ekonomiczne walory trawy bieszczadzkiej.

Przez sześć miesięcy, które spędzają na bacówkach na połoninach bieszczadzkich żre ich jednak nostalgia za rodzinnymi stronami.

Górale mają w wysokim stopniu rozwinięte poczucie odrębności, a nawet coś w rodzaju pogardy dla ludzi z nizin. Tolerują jeszcze „ceprów" z miasta, ci są bowiem dla nich czymś w rodzaju krowy dojnej. Natomiast gdy zapytałem „mojego bacę" czy ma znajomych w Wetlinie (robotnicy leśni i drogowi) ten się aż zdziwił: jak to przecież tam nie ma naszych.

Tęsknią więc za tym, żeby z kimś pogadać, za żonami, za gotowaną strawą i wreszcie za swoimi wysokimi górami. Gdy już bardzo dokuczy im samotność — odwiedzają się. Wędrują przez góry do najbliższej bacówki, gdzie można ze swojakiem pogwarzyć i ponarzekać na zbyt niskie ceny jakie mleczarnia w Rymanowie płaci za odstawione mleko, i za znowu zbyt wysokie opłaty jakie PGR-y pobierają za dzierżawione pastwiska.

I chociaż Górale w pełni doceniają zielone bogactwo Bieszczad, nikt z nich nie chce się tutaj osiedlić na stałe.

— Za małe góry i pogoda jakoś nie taka jak u nas — mówią.

Nie sądzę zresztą, żeby należało nawet specjalnie namawiać Górali do osiedlania w Bieszczadach. Typ gospodarki podobny do łemkowskiej, jaki reprezentują, daje niewielkie efekty gospodarcze i jest zbyt prymitywny jak na II połowę XX wieku.

Bieszczady nie są Texasem. Nie kryją w sobie bogactw mineralnych, nie nadają się do uprawy zbóż na wielką skalę. Mają tylko dwa skarby: drzewo i trawę. Ta ostatnia jak na razie — nie licząc bacówek — jest nie wykorzystanym skarbem.

Jeśli więc nie ma co liczyć na indywidualnych osadników, racjonalne wykorzystanie tego skarbu spoczywa na barkach PGR.

Od Cisnej po Ustrzyki Górne i dalej, gdzie nie ma nawet nazw na mapie, cała ziemia należy do PGR-ów. Jest to jedyny i największy obszarnik w tych stronach. Ten pan na dziesiątkach tysięcy hektarów najlepszych w Polsce łąk, na razie nie korzysta ze swych bogactw ze względu na niedostępność Bieszczad.

Niedostępność Bieszczad nie polega na tym, że góry tu są wysokie, ostry klimat itd. Nie, góry w Bieszczadach są raczej niskie i gdyby były drogi bieszczadzkie — trasy turystyczne byłyby w zasadzie spacerowymi. Szosa jest tu więc centralnym problemem — ona bowiem stanowi klucz do Bieszczad. Spójrzcie na mapę! Dwie szosy, które się obecnie buduje: Baligród—Ustrzyki Górne i Ustrzyki Górne—Ustrzyki Dolne otwierają bieszczadzką krainę.

Nie byłem na trasie Ustrzyki Górne—Ustrzyki Dolne.

Odcinek Baligród—Cisna jest jeszcze nie najgorszy. Gorzej Cisna—Wetlina, a stamtąd do Ustrzyk Dolnych droga jest już zupełnie dziewicza. Pod Berehami dwóch pasażerów wypadło z wozu, łamiąc sobie obojczyki, gdyż niespodziewanie droga się zapadła pod nami.

Bez szosy nie ma więc mowy, by gospodarz tych terenów — Państwowe Gospodarstwa Rolne — mógł korzystać z zielonego bogactwa. Dopiero odbudowa sieci komunikacyjnej umożliwi zorganizowanie w dolinach ośrodków gospodarczych, zespołów dla przemysłu przetwórczego.

Trudniejszym jednak problemem jest stworzenie modelu gospodarczego przystosowanego do warunków bieszczadzkich.

Dotychczasowe doświadczenia są raczej smutne.

Cały dzień spędziłem na naradzie PGR-owskiej kluczą Żmigród w górnej części powiatu jasielskiego. Warunki tu są lepsze niż w Bieszczadach właściwych, jednakże wyniki ekonomiczne bardzo słabiutkie.

Kiedyś zamieszkiwało tę krainę około 20 tys. Łemków, obecnie 320 rodzin. Większość to pracownicy PGR. W samym bowiem okręgu Żmigród za 8 mln zł założono 5 górskich PGR.

Rozwój ekonomiczny tych PGR ilustruje następujące zestawienie cyfrowe: w latach 1957—58 areał uprawny wynosił 938 ha, w latach 1958—59 440 ha. Okazało się że produkcja roślinna jest tutaj w ogóle nierentowna. Dochód płynie jedynie z odstawy wełny owczej.

Cyfry, które padały na tej naradzie były w ogóle straszne.

W gospodarstwie Orzeszna nakłady wynoszą 5 mln zł — dochód 2 mln zł. W gospodarstwie Wyszowatka — 90 proc. strat.

PGR-y te będą nadal deficytowe. Jedyny projekt urentownienia PGR-ów górskich, jaki padł na tej naradzie, dotyczył wydzierżawienia łąk... Góralom z Nowotarskiego. Wtedy bez żadnych nakładów byłby dochód.

* * *

Łatwiej jest krytykować niż wysunąć konstruktywny program.

Wiadomo, że indywidualne osadnictwo w Bieszczadach nie ma większego sensu. Wiadomo również, że kombinowane PGR-y rolniczo-hodowlane są deficytowe.

Wiadomo w końcu, że przyszłość w Bieszczadach mają tylko wielkie gospodarstwa o charakterze hodowlano-wypasowym.

Na wielkie farmy hodowlane brak jest jednak na razie odpowiedniego zaplecza. Tak więc znowu doszliśmy do problemu nr 1 dla Bieszczad — szosy.

Przy tej szosie, którą się obecnie buduje, powstają nowe osiedla: Cisna, Kalnica, Wetlina.

W Wetlinie, gdzie w przyszłości ma mieszkać 1200 mieszkańców, buduje się bardzo ładne jedno- i dwurodzinne domki. Na razie zajmują je sezonowi robotnicy, pracujący przy budowie drogi. Warunki, w jakich żyją, po trosze przypominają Texas, z początkowego okresu.

Na całą Wetlinę jest tylko 6 kobiet. Są to kucharki z baraków zajmowanych przez hufce ZMS. Toteż jeden z robotników, gdy pytam go o tzw. bolączki, krótko i węzłowato oświadczył: największą naszą bolączką jest brak kobiet.

Podobnie jak w Texasie jest tutaj prohibicja. Wódkę można dostać jedynie w Baligrodzie. Na całym szlaku Baligród—Cisna—Ustrzyki Górne (65 km) nie można dostać ani kropli alkoholu. Natomiast w przeciwieństwie do Texasu, w którego samej stolicy według Melchiora Wańkowicza mieszka dzisiaj 280 milionerów — w Bieszczadach nie ma ani jednego. Przynajmniej ja nie spotkałem.

Bieszczady bowiem to taki nasz narodowy polski Texas.

ANDRZEJ JAROSŁAWSKI

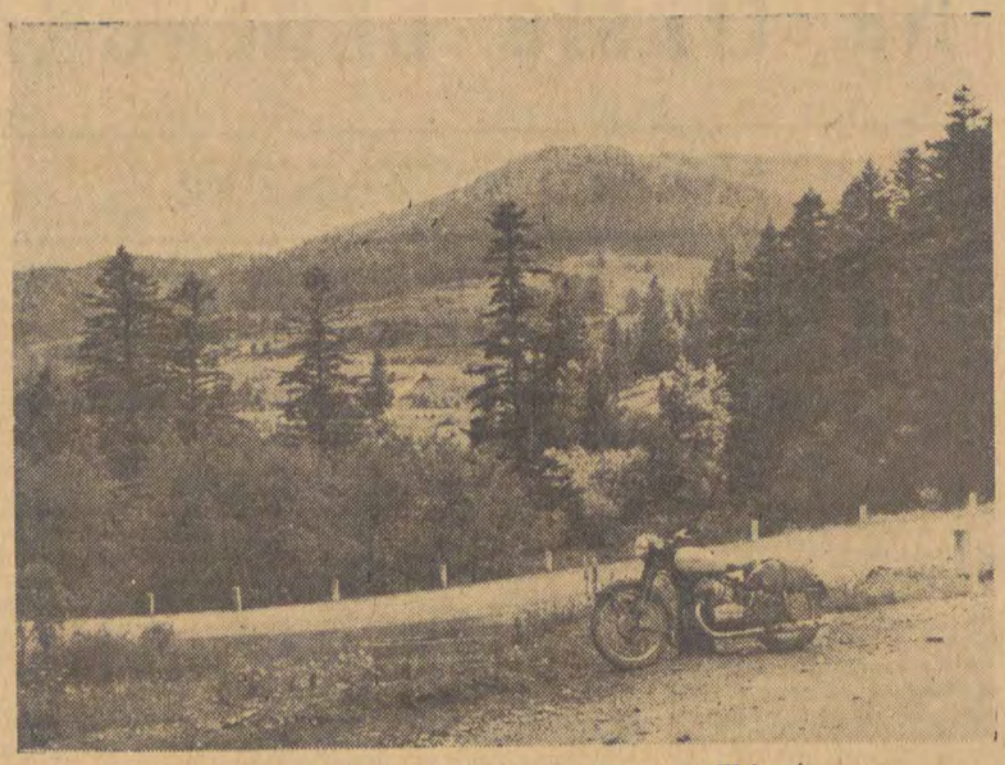

Okolice Cisnej — w głębi z prawej strony — Wołosań.

Budowa kombinatu drzewnego w Bieszczadach. Foto CAF

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

„LEŚNI" po raz wtóry

Wydany w ostatnich miesiącach zbiór opowiadań partyzanckich Edwarda Szustra pt. „Leśni"*) jest wznowieniem pierwszej książki tego autora, napisanej bezpośrednio po wojnie. Szuster, żołnierz AK i uczestnik partyzantki, w zamęcie wydarzeń wojennych zbierał materiał do „Leśnych". Nic dziwnego więc, że w wyniku powstała książka — dokument, książka, która wbrew pozorom fabularności jest przede wszystkim relacją naocznego świadka. Więcej: autor nie był biernym świadkiem, lecz także i jednym z bohaterów książki, która miała powstać. Nietrudno odgadnąć, że partyzant Zbroja, którego osoba przewija się przez wszystkie opowiadania Szustra, to niemal dosłownie on sam.

W sposób typowy dla książek przeżytych, a nie wydumanych „Leśni" nie zagłębiają się w intelektualne podkłady przeżyć bohaterów, lecz operują raczej obrazem zewnętrznym. Ma to dziś dla nas swoją i złą i dobrą stronę. Złą, gdyż czytelnik wracający po latach do problematyki minionej wojny szuka w lekturze jakichś bardziej złożonych treści. Nie wystarczają mu już obrazy zdarzeń, które z czasem blakną, chciałby głębszej analizy zjawisk wojennych, a nawet syntezy.

Tego wszystkiego książka Szustra nie daje. Pisana „na gorąco" po wojnie miała z pewnością inny oddźwięk w tamtych czasach niż ma dziś. Zastanowić by się więc należało, co z kolei przemawia za opowiadaniami Szustra.

Jest w nich głęboka prawda i doskonała znajomość realiów. Na podstawie lektury „Leśnych" nabiera się pojęcia o partyzanckim dniu powszednim, odartym z legend i mitów, w jakie walka podziemna w świadomości ludzkiej obrosła. W tym dniu powszednim nie ma miejsca na dęte bohaterstwo, ani na wykwintny frazes. Wszystko przysypane jest popiołem codzienności. I chyba to jest właśnie najwartościowsze w książce, że nie zakłamuje ona obrazu partyzantki ani ludzi biorących w niej udział.

Dziś, kiedy patrzymy na opisywane sprawy mądrzejsi o dystans czasu, który upłynął, kiedy gorączkę uczuć luzuje chłodna rozwaga i rozsądek, „Leśnych" traktować możemy jako materiał faktograficzny. Komentarz zaś do faktów musimy dać sami. Autor nam w tym nie pomaga, przeciwnie, jest tak dalece wtopiony w klimat opisywanych wydarzeń, że jego postawę pisarską uznać należy za przedłużenie tego klimatu. Dlatego język, jakim przemawiają do siebie partyzanci w opowiadaniach Szustra, pełen jest junackiej maniery, udanego cynizmu z nieuchronną dozą ordynarności. Ta poza partyzanckiej młodzieży łatwa jest do rozszyfrowania. Wystarczy jakieś silniejsze wzruszenie, jak w epizodzie z matką Jacka, by pod „czerepem rubasznym" błysnęły wrażliwość i uczuciowość.

Jeżeli pisarstwo Szustra — przypominam: Szustra z owych lat, kiedy książka powstała — traktować jako integralną część partyzanckiej atmosfery, wówczas nie rażą nawet pewne przejawy młodzieńczej maniery w narracyjnych partiach książki. Owo nienaturalne tu i owdzie świadome przestawianie szyku zdania, drażniące ucho dysonansem, który ma uchodzić za oryginalność stylu. Te rzeczy mieszczą się w konwencji książki i nie mamy o nie do autora żalu.

*) *Edward Szuster „Leśni". Wydawnictwo Łódzkie, 1959.*

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

O Bardzo Wielkim Poecie, Mańce i srebrnej Wiśle

Dokończenie ze str. 1

mował o sytuacji. „Jest tu kilka kobit — klasa. Nudzą się, panie, jak cholera. Wartałoby gruchnąć którąż. Nieprawdaż?

W sposób oględny, ale stanowczy, wyraziłem swą dezaprobatę odnośnie gruchnięcia kobit-klasa i zręcznie skierowałem rozmowę na bogatą przeszłość miasta K. i jego zabytki. Nieco szczegółowiej zająłem się analizą niewątpliwych wpływów włoskich w pełni widocznych w fasadzie Kamienicy Celejewskiej: zwłaszcza fryzy i środkowy szczyt, którego wdzięk przywodzi na myśl najlepsze z dzieł Santio Pucci — ową słynną ławę w kaplicy Batorego na Wawelu.

Jak przewidywałem, kordialny uśmiech mego rozmówcy przygasł. Przekrzywił głowę i patrzył na mnie jakoś spode łba. Ostentacyjnie przewiesiłem przez ramię mego „druha" w eleganckim futerale (w mieście K. nie wypada pojawiać się na ulicy bez eleganckiego futerału) i wyszedłem.

W długim, pomalowanym na stal olejną, korytarzu zastąpiły mi drogę trzy znudzone jak cholera kobity-klasa. Najśmielsza strzepnęła mi z wiatrówki pyłek i zapytała wręcz:

— Laluchna, czy zagra pan z nami w siatkę?

— Niestety, droga pani, brak mi już dla poświęcenia się tej niepozbawionej co prawda walorów estetycznych, lecz nie dającej intelektualnych satysfakcji, rozrywce niezbędnej werwy. Ostatni raz oddawałem się owej grze trzydzieści lat temu.

Pozostawiono mnie w nie zakłóconym spokoju. Wsparłem się o barierę statku i obserwowałem toń. Pod powierzchnią przepływały grube ryby, niektóre wielkości tomu wielkiej encyklopedii radzieckiej. Wisła miała kolor zgodny z konwencją. Ryże słońce, niby ten lubelski chłop w wielkim słomianym kapeluszu, przykucnęło w sitowiach. Ruiny zamku zapłonęły czerwienią rozłożystych pleców klasa-kobity. Bezszelestnie przemknął jastrząb. Krajobraz cichy, legendarny.

Plan wypoczynku:

1) odseparować się od nieodpowiadających mi usposobieniem wczasowiczów,

2) dużo i systematycznie zwiedzać,

3) obcować raczej ze wspomnieniami i umarłymi (z żywych Bardzo Wielki Poeta),

4) zbierać materiały i pisać.

W K. wszystko jest na swoim miejscu. Nie ma tylko owych omszałych ruder straszliwej starości, przy których powyłamywane galeryjki, zewnętrzne schody, ba, całe krużganki wisiały najdosłowniej w powietrzu, kompromitując prawo ciężkości i równowagi. Rynek odbudowany z myślą o wydobycie świadomie założonych efektów, jest o wiele bardziej europejski, niż przed wojną, lecz przy tym znacznie mniej kolorowy. Znikł ów dawny, jedyny w świecie, nieoceniony bałagan barw, dominuje akademicko-renesansowa biel.

Brak mi również rozszwargotanych przekupek i radośnie podnieconych faktorów. Pamiętam ich czarne kaszkiety i jak rozczapierzali palce w kierunku renesansowej kamieniczki: „Une jest bałdzo stałe, une ma może tysiunc lat, a może i pięćset".

Po rynku, tak zalanym słońcem, że przypomina ogromną kadź wypełnioną po brzegi stężałym syropem krążą wycieczki szkolne. Przed każdą z nich maszeruje osobny uczony młodzieniec. Oto jeden stanął pod „Krzysztofem" i przymknąwszy oczy dla lepszego zabezpieczenia przed kaprysami pamięci recytuje z zawrotną szybkością:

— Onże Mikołaj Przybyło, syn Bartosza, późniejszy fundator kamienicy, którą tu oglądamy, gościł w roku 1595 kardynała Jerzego Radziwiłła, wraz z licznym klerem i...

— Ale! Odrzutowiec! — słuchacze zadzierają głowy w nieco innym kierunku. — O patrz, patrz, jak zaiwania!

Do wieczora elegijnie krążyłem, odpominałem i snułem wątek. Wreszcie udało mi się złowić i zanotować parę interesujących metafor.

Przy małej czarnej słuchałem z należną rewerencją oświadczeń Bardzo Wielkiego Poety, przeplatając od czasu do czasu jego monolog potakującymi uwagami. Czyniłem to na tyle często, by dać do poznania, że nie obce mi ostatnie stadia wielkiej gry personalnej na szczytach krajowej literatury, na tyle rzadko, by dać wyraz szacunku dla inteligencji i miejsca na Parnasie Bardzo Wielkiego Poety. Pełny rozkwit uśmiechu na jego twarzy świadczył, że taktyka była słuszna i że poprawiłem lokatę swą w opinii rozmówcy.

Wracałem zadowolony z siebie jedynie żałując, że wracam między ludzi, którym obce są wielkie nazwiska, i na których nie uczyni żadnego wrażenia rzucona w sposób niedbały uwaga: „Spotkałem w kawiarni naszego S.P. Przysiadł się do mnie i przegadał cały wieczór. Ach, cóż to za grafoman!"

Po kolacji panie zaczęły objawiać podniecenie, wobec czego panowie poprzewracali stoły, kopnęli je w kąt i po całej Europie zaczęli szukać z pedanterią muzyki na poziomie.

Muzykę na poziomie znaleziono aż w stolicy państwa Luksemburg. Były to na przemian walce i rockendrolle.

Mimo woli posłyszałem fragment rozmowy na mój temat:

— Noo, Regina, nie wstydź się! Proś tego poważnego gościa!

— A coś ty Mańka! On ostatnią razą tańczył za czasów tej królowej Estery, czy jak jej tam!

Wycofałem się do kajuty i usiłowałem zasnąć. Zadanie niewdzięczne, zważywszy sąsiedztwo wesołego państwa Luksemburg i ścianę, która wykonuje precyzyjne ewolucje tańca rockendroll. Dopiero gdzieś nad ranem Luksemburg zasnął, a ja wydałem wspaniałą ucztę na cześć kardynała Jerzego księcia Radziwiłła i towarzyszących mu osobistości. Mój nadworny wierszopis Bardzo Wielki Poeta deklamował przed dostojnym gremium patetyczną na moją cześć odę. W chwili gdy mnie zestawiał z Kronidą, zmieniłem dyspozycję każąc mu zagrać rockendrolla. Bardzo Wielki Poeta przytknął do ust organki. Kiedym tańczył z Reginą, książę kardynał szeptał z podziwem: „Ale sobie białogłowę przygruchał! Klasa-kobita!"...

Wszystko odbywa się zgodnie z planem. Co dzień po śniadaniu biorę mojego „druha", zwiedzam, kontempluję, gromadzę i suszę osobliwsze okazy flory — realia do przyszłych wierszy. W notatniku zebrała się spora garść rzadkich metafor. Są tam dwie rubryki. W jednej zapisuję nadrealistyczne, w drugiej — realistyczne (jeszcze mogą się przydać). Często przysiadam do stolika Bardzo Wielkiego Poety. Jest co dzień markotniejszy. Trudno mu skupić się nad Dziełem Godnym Trudu. Sekretarka nie przyjechała dotychczas.

Dochodzi właśnie dwunasta i powietrze rozdzierają potężne śpiże dzwonu Świętego Bartłomieja. Dzwon, zaopatrzony herbem „Pobóg" i konsekrowany, jak wiadomo, w roku 1698, kiedy proboszczem fary był przewielebny oświecony Jan de Roxicki wzywa jak raz wiernych na „Anioł Pański" Bardzo Wielki Poeta zerwał się i odmłodzony o trzydzieści lat pognał na przystanek PKS. Jest to pora przyjazdu autobusu z miasta, które posiada połączenie z Warszawą.

Z owocarni po przeciwnej stronie rynku wysuwają się długi pan Zygmuncio i krótki pan Stachu — zapamiętali gracze w warcaby — i zakreślając malownicze ósemki kierują się ku przystani. Dysputują zamaszyście i stanowiska ich już to zbliżają się, już to oddalają.

Postanowiłem także wrócić i nieco opalić pierś i ramiona (drobna i nic mi właściwie nie ujmująca koncesja na rzecz gustów drobnomieszczańskich środowiska, w którym zdarza mi się czasem przebywać). Czyżbym się nudził, gdyż monografia o mieście K. (znakomita i wyczerpująca) pióra prof. Hussarskiego od wczoraj leży w samej kajucie bezczynnie? Czy nie tępieję?

Po obiedzie także do niej nie zasiadłem. Siedzę na pokładzie i w celach socjologicznych słucham dyskursu towarzyszy wczasów.

Ponieważ nadpłynęły chmury zwane cumulusami, towarzystwo postanowiło odłożyć wyjazd łodzią na plażę. Pan Franiu — uosobienie walorów towarzyskich i dyktator kolektywu opowiada doskonały kawał:

— I wtedy ten właśnie facet złapał ją... ma się rozumieć... za, za...

— Za co, panie Franiu? Za co?

— Za półdupek.

— Hi, hi, hi! — śmieją się panie, nieco k'sobie.

Panu Franiowi nie zagraża z niczyjej strony konkurencja. Sąsiad mój — przystojniak (świeżo dyplomowany inżynier z bytomskiej politechniki) nie może sobie pozwolić na zabawianie całego towarzystwa. Trzymany mocno przez panie Renię i Manię — dla nich musi zachować cały swój hart ducha. „Synuś" ociera się trochę cielęco o panią Wacię i usilnie majstruje przy jej leżaku.

Minęły nas wystrojone „pegeery". Tą nazwą określa się tu czwórkę dziewcząt z podkrakowskiej wsi. Skierowano je tu w nagrodę za osiągnięcia na polu produkcji. Sytuacja z brodą, ale cóż robić, kiedy tak właśnie było. Dziewczęta wykręcały się, a personalna okazała się konwencjonalnie nieubłaganą.

Ale nie nudzą się, tak jak ja, poznały po drugiej stronie rzeki kawalerów i co dzień wskakują do kajuty przez okno mocno już po dwudziestej czwartej godzinie.

Pan Franiu opowiedział trzeci z kolei kawał.

Nad Wisłą przeszybował właśnie jakiś ptak, zatoczył jaskółczy łuk i zniknął,

— To była rybitwa — oznajmił pan Franiu, gdyż dyktator wykazywać musi wiedzę wszechstronną.

Przejaśniało. Kolektyw jął się gotować do wyjazdu na plażę. Nikt mi nie zaproponował. Więc zostałem. Kierownictwo statku i cały personel wyjątkowo dla mnie uprzejmi. Podczas posiłków otrzymuję dyskretnie dodakowe porcje. Kłopoty ze schudnięciem nadal aktualne.

★

Panie i panowie od rana na plaży. Nie chce mi się szwendać po mieście, a kawiarnia jeszcze o tej porze nieczynna. Zostaję w kajucie i przepisuję na czysto notatki.

Na statku pewne podniecenie. Ponieważ tylko pewne, wnoszę, że inspekcja na szczeblu powiatu, nie zaś wojewódzkim czy centralnym.

Przez drzwi dobiega głos kierowniczki kuchni, która składa inspektorowi relację z najpozytywniejszych wydarzeń turnusu.

Głos kierowniczki kuchni:

— A wie pan, mamy tu jednego lepszego gościa — bardzo wielki poeta. Dogadzamy mu, w czym się da. Może o nas napisze.

Od stolika Bardzo Wielkiego Poety emanuje wysokogatunkowy liryzm. Obok autora siedzi chuda brunetka. Mówi jej miękko i zawile o samopoczuciu oraz najsubtelniejszych odcieniach tęsknoty.

Przedstawiam się szarmancko i wyrażam radość, że pani sekretarka drogiego Mistrza raczyła wreszcie przybyć. Poeta wolny od dramatycznych niepokojów ducha będzie kontynuował Dzieło, na które wszyscy czekamy.

Ale Bardzo Wielki Poeta wcisnął mi znienacka usta do prawego ucha:

— Panie! Z sekretarką tsss! Tss — z sekretarką! To jest moja żona — Bardzo Wielka Poetka.

Błagał mnie rozszerzonymi oczyma, bym się przeniósł do innego stolika.

Wróciłem nad Wisłę, gdyż Bardzo Wielki Poeta wydał mi się trochę nudny, a towarzystwo ze statku z lekka interesujące. Po drodze nawiedziło mnie przypuszczenie, że odpoczywam nie nazbyt mądrze i że moja nadbudowa w tymże odpoczynku przeszkadza.

Koło przystani odniosłem wrażenie, że nie jest jeszcze za późno.

* * *

Pali niemiłosiernie, a my opalamy się na pokładzie. Ręce i ramiona mam ze słońca. Panie wyciągnęły się na leżakach w wybitnie ekskluzywnych pozach. Mają twarze koloru żywego mięsa. Wokół swych pań kręci się dość bezradnie „przystojniak". Od wczoraj obdarzył Manię głębszym uczuciem, wobec czego obowiązek zabawiania dwóch dam na raz zaczyna mu ciążyć.

Pan Franiu marszczy czoło i myśli, a nic nie może wymyślić. Wszystkie śmieszne historie zostały już dawno powiedziane, a gry towarzyskie ograne.

Takie właśnie chwile natura stworzyła do zamachów stanu.

— Zagramy w salonowca! — zawołałem znienacka tonem nie znoszącym sprzeciwu. Moje odezwanie się zdumiało wszystkich, w tym również i mnie.

Bohaterska ta gra, pamiętająca czasy zalotów Mieszka i Dąbrówki, nie znana już była na tych szerokościach geograficznych, toteż wczasowicze trwali w pełnym zdumienia bezruchu. Okazało się jednak, że grę zna Mania. Posłusznie odwróciła się w przepisowej pozycji i wypięła drżące z tłumionego niepokoju części figury, których zazwyczaj wypinać nie należy, chyba że w celach klasowo-politycznych. Panowie dość, jak się okazało, pojętni wnet pojęli o co chodzi. A kiedy rozpoznany dokładnie zmuszony byłem zająć miejsce Mani, zasady gry w lot pojęły i panie.

Zabawa ta prowadzona z nie słabnącym natężeniem przez dobrą godzinę wyrobiła mi z miejsca wysoką popularność.

— Państwo, jedziemy na plażę — zawołałem rozkazująco i wstali jak jeden mąż.

Na plaży ułożyłem się w wianuszku pań i panów i wychodziłem ze skóry.

— A więc słuchajcie. Był sobie jeden ksiądz i on miał, no wiecie... gospodynię...

— Ha, ha, ha!

— A tu jak raz przyjechał do niego... jeden biskup...

— Hi, hi, hi, hi!

— A więc co ten ksiądz robi! Zamyka tę właśnie gospodynię w szafie i mówi temu biskupowi, że w tej szafie są tylko... stare organy.

— Stare organy! He, he, he, he!

— A ten biskup patrzy i widzi, że szafa nie zamknięta, a z niej wystaje coś takiego gołego...

— Gołego! Ha, ha, ha, ha, hi, hi, hi, hi!

Była to zaiste natchniona improwizacja. Stwarzałem sytuacje pozwalające na fenomenalny dobór określeń, komplikowałem je, wymyślałem wciąż nowe, coraz entuzjastyczniej przyjmowane pointy.

Franiu teraz dopiero pojął, co się stało. Przystąpił do kontrataku, ale już po pierwszych słowach kawału zakrzyczeli go, że znają, że mówił już pięć razy.

Tego dnia nauczyłem jeszcze mych podopiecznych wspaniałej gry w berka kucanego.

Po kolacji zaproponowałem wycieczkę na Kwaskową Górę — jedno z najpiękniejszych miejsc w okolicach K. Tak wielkie już było do mnie zaufanie, że kolektyw buntujący się dotychczas solidarnie przeciwko wszelkim planom turystycznym kierownika wczasów, wyruszył w komplecie, choć z nie najwyższym entuzjazmem.

Jednak nie zawiedli się na wodzu.

Od rynku skręciłem w lewo i powiodłem ich w stronę fary, potem ostro skręciłem w prawo i dziarsko wszedłem na dwumetrowy pagórek, na szczycie którego piętrzy się słynny, opiewany przez stu poetów i Hannę Mortkowicz-Olczakową, historyczny lokal Bernsa, zwany obecnie przez pietyzm dla tradycji — PSS „Zamkowy".

— To jest właśnie — hi, hi, hi, — góra. A jak wejdziemy i napijemy się he, he, he — kwasku, to będzie razem — ha, ha, ha — „góra kwaskowa".

Począwszy od następnego dnia panowie Zygmunio i Stachu przestali grać w warcaby. Nauczyłem ich bowiem gry nierównie piękniejszej — w wilka i owce. Grali w nią zresztą i inni, z wyjątkiem „przystojniaka", chociaż ten miał już czasu pod dostatkiem. Od wczoraj bowiem Mania zrezygnowała z jego uczuć i mnie dotrzymywała towarzystwa.

Oboje wpadliśmy tego dnia do kawiarni. Bardzo Wielki Poeta siedział pogrążony w studiowaniu pochlebnej o sobie recenzji w tygodniku „Przyjaźń". Był towarzysko usposobiony i zamierzał poświęcić mi dłuższą chwilę. Nie rozporządzałem jednak odpowiednim czasem. Przedstawiwszy go Mańce jako swej sekretarce, oświadczyłem, że niestety, muszę się za chwilę przyłożyć do trudnego dzieła.

Następna noc była już nocą „zieloną". Po niej nastał przykry poranek. Pakowaliśmy walizki, a te mieszały się co chwila z nowymi, jakie wnosili ze wszystkich stron jacyś dziwni ludzie o twarzach koloru skorupek od jaj.

— Łaskawa pani — pyta Mańkę któraś z twarzy — pani będzie taka dobra poinformować nas, czy lepiej zamieszkać na tym parochodzie czy w domku campingowym?

— To zależy — odpowiada Mańka zła jak wszyscy święci. — Jeśli chodzi o panią, radziłabym domek. Ten statek, to łódź podwodna z demobilu i na noc się zanurza.

— Zanurza się! Wacuś, chodźmy szybko.

Wzięliśmy nasze walizki i udaliśmy się na rozstajne drogi.

Na statku nas nie było nigdy.

Przypisy końcowe:

1. By wypocząć, nie trzeba posiadać nadbudowy (morał)

2. Nie gub na wczasach palta, nie będziesz pisał na pokrycie strat finansowych niemądrych nowel (morał osobisty)

3. Mańki nie ma na świecie (informacja dla żony)

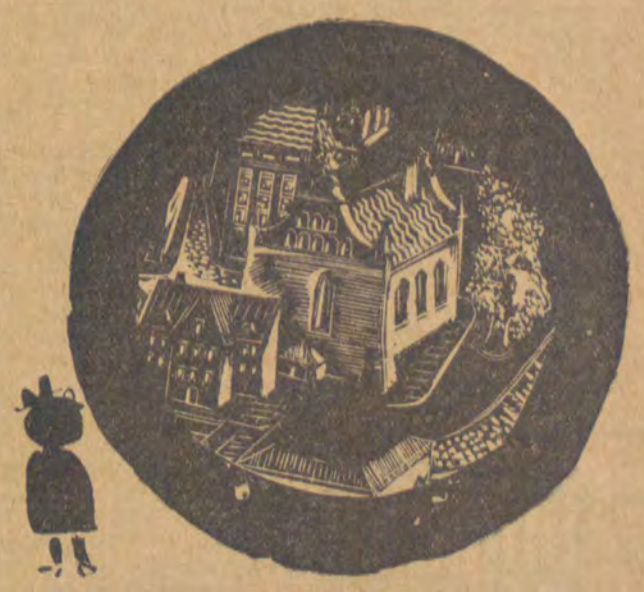

JAN KOPROWSKI

KTO I O CZYM?

Spotkałem się ostatnio z sądem, który wzbudził we mnie pewne wątpliwości. A raczej, nie tyle wątpliwości, co niepokoje. Sąd ów głosił, iż z faktu zamieszkiwania pisarza w jakimś mieście nie wynika bynajmniej, by pisarz ów właśnie o tym mieście miał pisać.

Ogólnie biorąc jest to prawda. Pisarz mieszkający w Łodzi nie ma obowiązku wydawania książek o swoim mieście. A przecież ta prawda wcale mnie nie uspokaja (i zresztą nie mnie jednego). Bo zapytajmy, kto w takim razie ma pisać np. o Ziemiach Zachodnich? Ten, co mieszka w Warszawie, Krakowie, czy Lublinie? Jeśli jakiś pisarz osiedlił się we Wrocławiu, Opolu i Zielonej Górze — to dlatego, że mu to miasto przypadło do gustu, że znalazł tam dla siebie jakieś ważne miejsce, że je, mówiąc po prostu, polubił.

W roku 1945 mogła zwieźć tego lub owego poetę pewna egzotyka ziem świeżo odzyskanych i o osiedleniu się wówczas decydował często-gęsto przypadek. Zresztą człowiek, który osiadł na Ziemiach Odzyskanych przypadkowo i nie odnalazł terenu dla siebie, dawno się stamtąd wyniósł. Więc o tym nie mówię. Mówię o tych, którzy mieszkają tam od lat bez przerwy, którzy wrośli w tę ziemię i zakochali się w jej urodzie. Założyli tam swoje domy i rodziny, wydają książki, redagują pisma, pracują zawodowo i społecznie. A cóż dopiero mówić o młodych, którzy pokończyli na Ziemiach Zachodnich szkoły średnie i uniwersytety i dla których jest to jedyna prawdziwa ojczyzna. Czyż z faktu tego nie wynikają żadne obowiązki? Któż, jeśli nie oni ma wspomagać piórem trud tej ziemi? Szczególnie dziś, kiedy trud ten szkalowany jest przez inne pióra.

Myślę tu o rzeczy mało u nas znanej, a mianowicie o niemieckiej literaturze odwetowej.

W Niemczech od dawna rozwija się szeroko tzw. Heimatdichtung, czyli literatura regionalna. Pisarze regionalni nieznani są szerszemu ogółowi czytelników, oficjalna historia literatury często w ogóle nie notuje ich dzieł i wysiłku natomiast są oni cenieni, na swoim terenie i w kulturze danego regionu odgrywają doniosłą rolę. Toteż w Niemczech pisarze mieszkają nie tylko w stolicy i kilku większych miastach. Mieszkają także w małych osadach i w miarę jak pozwalają im na to talent i możliwości, są albo pisarzami ogólnoniemieckimi albo właśnie „Heimatdichterami". Na naszych Ziemiach Zachodnich, kiedy znajdowały się one jeszcze pod panowaniem niemieckim, takich twórczych ośrodków regionalnych było bardzo wiele.

Wszyscy ci pisarze, znalazłszy się w roku 1945 w Niemczech zachodnich, powsiąkali w rozmaite organizacje ziomkowskie (odwetowe) i tematem ich twórczości są w dalszym ciągu opuszczone przez nich przed laty regiony. Oczywiście zupełnie inny charakter ma taka twórczość dzisiaj, gdy Niemcy nie władają ziemiami, o których twórcy piszą i w utworach ich przebija przede wszystkim żal za „rajem utraconym". Ale właśnie celem tego pisarstwa jest budzić nieustanny sentyment, nie pozwalać na zobojętnienie wobec tych ziem, wywoływać uczucie tęsknoty i uczucie nienawiści. Naturalnie uczucie nienawiści do Polski i Polaków. Mnożą się więc powieści o wysiedleniu Niemców w roku 1945, w których Polacy są przedstawieni jako barbarzyńcy i rabusie, a oni, Niemcy — jako niewinne ofiary gwałtu i przemocy. Powstają utwory o Dolnym Śląsku, ziemi olsztyńskiej, Opolszczyźnie, o pojedyńczych miastach, o wsiach, a nawet o rzekach.

Mógłby ktoś spytać: a kim są autorzy tych utworów? Co robili dawniej? Otóż niejeden z nich to po prostu renegat. Taki na przykład Alfons Hayduk był za czasów Hitlera pisarzem-dygnitarzem na Śląsku, cały swój wysiłek i energię koncentrował na walce z żywiołem polskim. Albo August Scholtis, autor antypolskich powieści i opowiadań. Albo Hans Christoph Kaergel, Karl Schodrock i wielu innych. Nie ponieśli oni żadnej kary za swoją hitlerowską przeszłość. Ci pisarze, którzy ostali przy życiu, korzystają w pełni ze swobody obywatelskiej i twórczej, są drukowani, opłacani i nagradzani. Ich utwory doskonale służą i pomagają propagandzie rewizjonistycznej i odwetowej. I choć krytycy literaccy od wielkiej twórczości piszą o nich (jeśli w ogóle coś piszą) z lekceważeniem, nic nie stoi na przeszkodzie w rozprzestrzenianiu tych książek, które znajdują chętnych nakładowców i, dzięki odpowiedniej reklamie, jakże chętnych nabywców.

Istnieje więc z naszej strony potrzeba odpierania fałszów, nieścisłości i kłamstw tej literatury. Niemieccy publicyści i pisarze rewizjonistyczni włożyli (i wkładają) wiele gorączkowego wysiłku w to, by historię naszego panowania na tych ziemiach przedstawić w jak najgorszym świetle. Oczywiście nam, posiadaczom Ziem Zachodnich, niepotrzebna jest gorączka i pośpiech, ale potrzebne są dzieła, dające świadectwo prawdzie. I to zarówno dla nas samych, jak i zwłaszcza dla zagranicy, aby walczyć skutecznie z propagandą zachodnioniemiecką i odpierać jej fałszywe ataki.

I oto radzi się pytanie: któż ma to robić? Jasne: pisarze, zamieszkali na Ziemiach Zachodnich — we Wrocławiu, Opolu, Zielonej Górze, Szczecinie, Gdańsku, a także w Katowicach i Poznaniu, gdyż oba te ośrodki grawitują ku ziemiom nad Odrą i Nysą.

Byłoby niesprawiedliwością powiedzieć, że nic w tym zakresie nie zrobiono. Owszem, wiele już wydano publikacji naukowych i o doraźnym charakterze. Wiele napisano wierszy i powieści poświęconych tym naszym odzyskanym terenom. Ale działo się to zaraz w pierwszych latach po wojnie, kiedy niejako była moda na polski zachód, kiedy zachłystywano się nim i upajano. Niejeden z powstałych wówczas utworów jest już dziś nieczytelny, nazbyt powierzchowny i płytki.

A zatem sprawa literatury o Ziemiach Zachodnich jest sprawą żywotną i na wskroś aktualną. I tym ważniejszą, iż w niektórych ośrodkach twórczych rodzą się swoiste tendencje pięknoduchowskie — kult literatury ahistorycznej, powstającej poza wszelką problematyką i poza czasem, odbarwionej, pozbawionej konkretyzacji geograficznej i pejzażowej. Oczywiście, taka twórczość również jest potrzebna i ważna. Ale staje się ona typowym kwiatkiem u kożucha, jeśli prócz niej, nie rozwija się pisarstwo problemów i konfliktów epoki, w której przyszło nam żyć i działać.

Próba chóru Zdjęcie: G. PUCIATO

Jest taki dom...

HENRYK ANDERS

(Dokończenie ze str. 2)

jest jedną z najstarszych członkiń zespołu. Ukończyła liceum, pracuje w Zakładach Energetycznych. Poczęstowana papierosem wymawia się. Zapaliłaby, ale tu, gdzie ją znają od dziecka, nie wypada. Korzysta z klubowej biblioteki i chadza czasem na tańce towarzyskie.

Pan Dowgird odwołuje tancerki i przerywa nam miłą rozmowę. Zasięgam więc języka u mężczyzn.

Pan Janusz Grzywa należy do zespołu od samego początku. Proponowano mu przejście na zawodostwo, ale nie chce. Jest wybijającym się wzorcarzem w Wifamie, lubi swój fach i dobrze zarabia. Mógł zostać w zespole w wojsku, gdzie tańczył w czasie służby czynnej. Nawet dużo skorzystał, nauczył się tańców klasycznych, które mu odpowiadają, ale nie.

Dawniej było lepiej. Byli na zlocie w Bukareszcie, spędzili trzy tygodnie w NRD. Nie, nie dokształca się i nie korzysta z usług Klubu. Praca i zespół zajmują tyle czasu, że książkę może najwyżej poczytać w tramwaju.

Pan Zdzisław Niewiadomski nie jest już członkiem zespołu. Jest tancerzem w operetce, podpowiada ktoś z boku. Ma teraz ferie letnie, więc przyszedł pomóc kolegom. Mieszka w Zgierzu. Miał bardzo ciężkie życie. Uczęszczał do liceum pedagogicznego, ale gdy umarli rodzice, musiał przerwać naukę i został tkaczem. Kiedy zgłosił się do zespołu nie umiał nic. W dodatku „rozrabiał", chcieli go wylać. Potem jakoś spoważniał.

— Jest odtąd wzorem karności — wtrąca pani Szarowska, która tymczasem nadeszła. — No i nauczył się czegoś, na międzynarodowym konkursie tańców ludowych dostał srebrny medal.

— To chyba najmilsze wspomnienia?

— Najmilsze to może z NRD. W Stendhal tańczyliśmy w prowizorycznej szopie, w zajezdni tamtejszego Pekaesu. Jak wyszliśmy całym zespołem, jak tupnęliśmy, podłoga się zarwała, dopiero podbiegli kierowcy i przez cały czas podtrzymywali nas na barkach. Publiczność nawet nie zauważyła. Ale to było dawniej.

Ci także narzekają. Czy słusznie? Jako amatorom nic im się formalnie nie należy, powinni się kontentować samą przyjemnością uczestniczenia w zespołach. Ale wiadomo, związki zawodowe szafowały w swoim czasie pieniędzmi, rozparzyły ludzi, obecne ograniczenia budżetowe dolegają. Z drugiej strony jednak ci właśnie, Eldekowcy, nie odpadli jak tylu innych, zostali wierni placówce. A stanowią zespoły stosunkowo wysokiej klasy, wypróbowane i niezawodne. Eksploatuje się ich też jak zawodowców. To chyba zobowiązuje. Gdyby byli sportowcami, mój Boże, ile by mieli przywilejów.

Nazajutrz po południu w sali kolumnowej zbiera się również chór. Muszą przećwiczyć skomplikowane „pas", mają wpaść na scenę tanecznym krokiem. Jest już po czwartej, schodzą się powoli, jakby niechętnie. Nie, to pomyłka, po prostu, mimo starań, nie wszyscy otrzymali zwolnienia z pracy, przybywają wprost z zajęć, niekiedy bez obiadu. Wykazują dużo dobrej woli, ale poruszają się, biedacy, ciężkawo. Trzeba jeszcze długo pracować. Pan Dowgird irytuje się.

— A jednak, to daje jakąś satysfakcję — tłumaczy mi później. — Oczywiście, z zespołem ośmiu par, z samymi wybranymi pracuje się łatwiej. Ale cóż z tego? Ja rozumiem, sam jestem byłym sportowcem, jaki sens ma wzorcowy zespół wyczynowy. Mamy doskonały balet, prawie na poziomie zawodowym. Czy jednak występy i sukcesy to jest nasz cel? Czy rozwiązując „Strzelczyka", ten wielki zespół, przez który przechodziły setki ludzi, nie zagubiliśmy po drodze rzeczy najistotniejszej — upowszechniania tańca?

Upowszechnianie. Wielki problem kultury masowej, czy tylko modny slogan? Mówiło się, że świetlice nie zdały egzaminu, że tylko domy kultury i bogato wyposażone kluby mogą pokierować właściwie spontanicznym ruchem amatorskim. Jakże sobie z tym radzi „Eldek"?

— To prawda — przyznaje pani Szarowska — jest u nas sporo fasadowości. Ale jak wszystkim dogodzić? Weźmy taki repertuar zespołu teatralnego. Wymagają władze, żebyśmy wystawiali sztuki na wysokim poziomie, tanie, bo trzeba oszczędzać, masowe, bo trzeba upowszechniać, i kasowe, bo trzeba zarabiać. Wystawiając „Sprawę Moniki" — Morozowicz-Szczepkowskiej, daliśmy w afiszach tytuł „Oblicze miłości", bo wie pan, bardziej chwytliwy. Czy to nie śmieszne? Na pewno nie o to chodzi, na pewno to nie jest cel ruchu amatorskiego. Tylko nieprawda, że dawniej było lepiej. Było więcej pieniędzy i jeszcze mniej zrozumienia.

Na naradzie działaczy kulturalnych w grudniu ubiegłego roku mówił tow. Morawski:

„Niepokojące zjawiska komercjalizacji występują również w działalności domów kultury, w klubach i świetlicach, których praca obliczona jest na rozbudzenie i zaspokojenie elementarnych potrzeb kulturalno-oświatowych... Ale o tym, że nie wszyscy działacze poszli na łatwiznę, świadczy praktyka takich domów kultury, jak np. łódzki, krakowski.

Jakie z tego wyciągnąć wnioski?"

Istotnie.

Samobójcy

(Dalszy ciąg ze str. 4)

stawieniu rumienić, bo rzecz polega nie tylko na zwiększonej zachorowalności, ale również na wielokrotnie zwiększonej operatywności służby zdrowia. Większy odsetek wykrytych chorych umysłowo, to mniejszy procent samobójstw.

W każdym razie tysiąc samobójców, to wcale nie ostatnia pozycja w statystyce zgonów. Na każdych 105 zmarłych w 1956 r. — jeden sam odbierał sobie życie. Więcej było samobójców niż np. zmarłych na choroby gośćcowe, choroby krwi, narządów krwiotwórczych i gruczołów dokrewnych, więcej niż zmarłych z powodu chorób ciąży, porodu i szeregu innych. A więc problem dla medycyny nie byle jaki.

Powoli sumowały się wieloletnie doświadczenia psychiatrii. Droga od hipotezy do przekonania o patologicznym podłożu decyzji samobójczej nie była prosta. Oprócz normalnych trudności naukowego poznania piętrzył się mur przesądów i mitów. Dziś medycyna dysponuje już pokaźną listą psychiatrycznych jednostek chorobowych zawierających stwierdzone i udowodnione potencjalne niebezpieczeństwo samobójstwa.

ZGONY SAMOBÓJCZE W R. 1938

ogółem	**2688**
w tym wieś	**1441**
miasta	**1247**
mężczyźni	**1854**
kobiety	**834**

Na pierwszym miejscu stoją psychozy wynikające z powikłań przy zatruciu alkoholowym. Spójrzmy na liczby: 1938 r. kobiet-samobójców 834, mężczyzn 1.854; 1956 r. kobiet 247, mężczyzn 680. Wiadomo powszechnie, że w pijaństwie mają mężczyźni niewątpliwą wyższość. W psychozach alkoholowych zdarzają się również samobójstwa

(Dokończenie na str. 10)

Napisał: Edmond Hamilton

SKARB NA OBERONIE

Przełożył: A. Ostoja

— 31 —

Statek kosmiczny „Meteor" wyruszył na Oberona, księżyc Uranu, celem zdobycia bezcennego pierwiastka, zwanego levium. Po przybyciu na drugiego satelitę Uranu. Tytanię, załoga statku została sterroryzowana przez ludzi znanego aferzysty, Charlesa Berdota. W dalszą podróż „Meteor" wyruszył już pod dowództwem Berdota. Statek wylądował na jednym z bazaltowych płaskowzgórzy Oberona, tuż przy brzegu Płomiennego Oceanu.

W ostatniej chwili załoga statku została zaatakowana przez potwory...

— Niech jedni odpędzają ich kilofami! — krzyknął Berdot. — Pozostali spychają tratwę.

Nort, Dorak i Wayty spotkali ogniowików uderzeniami łomów i kilofów. Kilof Norta rozbił krystaliczne oko jednemu z potworów. Wayty potężnym ciosem ciężkiego łomu prawie zniósł głowę innemu.

— Na tratwę! — krzyknął Berdot. — Prędzej!

Sydney i Kells spuścili ciężki blat białego kamienia na płynną lawę. Nort i jego towarzysze wskoczyli w ślad za innymi na kołyszącą się tratwę. Ogniowiki biegły już ku brzegowi. Ciężka kamienna tratwa powoli ruszyła na falach lawy. Nort i jego koledzy pracowali jak szaleni kamiennymi wiosłami.

Zawiedzione potwory skupiły się na brzegu i spoglądały na tratwę kryształowymi, podobnymi do szklanych talerzyków, oczyma. Berdot, stojąc na dziobie dziwnego statku razem z Darmem i Kellsem, wskazał na północ poprzez Płomienny Ocean.

— Kierujcie się ku tym trzem wulkanicznym szczytom!

Nort był nieomal wstrząśnięty nieugiętą siłą woli tego awanturnika. Sytuacja ich była niebezpieczna jak nigdy dotąd. Żar, który promieniował od falującej purpurą lawy, był prawie nie do zniesienia nawet poprzez ochronną aureolę antytermitów. Każdy ruch kamiennych wioseł rozsypywał naokoło fontannę ognistych iskier. Spadał na nich popiół wulkanów, daleko na południu miotających w niebo burzę ogniową. Obłoki gęstego dymu spowijały wszystko różową mgłą.

— To... to jest... piekło — szepnął Filip Sydney pracując wiosłem obok Norta. — Nie powrócimy stąd nigdy.

Na powierzchni lawy tańczyły słupy wijącego się płomienia. Jedna z takich płomienistych trąb zaczęła pędzić wprost na nich.

— Wiosłować na zachód! — krzyknął Nort.

Błyskawicznie zmienili kurs. Huragan ogniowy przeleciał zaledwie o kilkanaście jardów od nich. Zachodni krater był już przed nimi. Jego poszarpany, czarny, stożkowy szczyt wyłaniał się stromo z Płomiennego Oceanu. Nie było tam żadnego podnóża lub brzegu. Tylko w jednym miejscu zauważyli wąski placyk, na którym można by było wylądować.

Kamienna tratwa uderzyła o brzeg. Berdot i jego wspólnicy wyskoczyli pierwsi i śledzili z bronią w ręku ruchy pozostałych.

— Bierzcie ze sobą oskardy, łomy i powrozy — pośpiesznie rzucił rozkaz Berdot. — Musimy przycumować tratwę.

Wayty, Sydney i Dorak wyszli na brzeg z narzędziami. Przechodząc przez kamienną tratwę. Nort pochylił się, jak gdyby potknąwszy się. Palce jego ukradkiem odpięły klamry ołowianych trzewików. Zdawał sobie sprawę z tego, że o tym, co stanie się za chwilę, zadecydują sekundy.

— 32 —

Wyprostował się, jakby po to, aby zejść z tratwy. Zamiast tego zrzucił z nóg ciężkie obuwie. Zwolniony z ich ciężaru, skoczył wprost na Berdota i jego ludzi.

Wszyscy trzej znajdowali się o trzydzieści stóp od niego. Lecz te trzydzieści stóp John Nort przeleciał jak pocisk. Wystrzał zagrzmiał z tyłu za jego hełmem w chwili, gdy już zwalił się na Berdota.

Obalił awanturnika na ziemię, gwałtownie wczepił się w jego uzbrojoną rękę i jednocześnie uderzył nogami, aby przewrócić Darma i Kellsa.

— Dorak! Sydney! Na nich! — krzyknął.

W KRATERZE

Walcząc z Berdotem, Nort posłyszał w pobliżu wystrzał karabinu atomowego. W słuchawkach rozległy się jęki i rzężenie agonii. Nort nie mógł się odwrócić, aby zobaczyć, kto to wystrzelił. W tym momencie udało mu się wyrwać pistolet z ręki oszołomionego Berdota.

— Cofnąć się, ręce do góry, bo strzelam! — krzyknął.

Walka na wąskim placyku była skończona. Darm leżał twarzą do ziemi. Żaroodporny kwarc wziernikowy w jego hełmie był rozbity, twarz już sczerniała od gorąca. Nad nim pochylała się olbrzymia postać Wayty. Sydney odebrał broń Kellsowi i celował w opryszka. Lecz z tyłu, chwyciwszy się za nogę i wijąc się z bólu leżał Jan Dorak.

— Darm zranił Doraka, przedtem nim zdążyłem go zabić — szepnął Wayty.

Nort pozostawił go na straży przy Berdotcie i Kellsie, a sam pochylił się nad Dorakiem. Noga astronauty została zraniona wystrzałem atomowym, skafander insulitowy był rozerwany.

Nort odciął kawałek insulitu od skafandra zabitego Darma i szczelnie owinął nim nogę Doraka. To na jakiś czas powinno było zabezpieczyć ją od gorąca.

Następnie odcięto kilka kawałków powroza i związano Berdotowi i Kellsowi ręce i nogi.

— Tak, to było dobrze zrobione, Johny — rzekł Wayty.

Nort spojrzał na stromy stok szczytu. Olbrzymia bazaltowa iglica była pokryta korą ostygłej lawy. Do góry wzdłuż stoku prowadziła wąska szczelina w skale.

— Teraz po levium — powiedział i spojrzał na Doraka, który siedział opierając się plecami o bryłę lawy.

— Idźcie, chłopcy— mruknął Dorak. — Mogę pilnować Berdota i Kellsa w czasie waszej nieobecności.

Nort dał mu karabin atomowy.

— Spal ich, Janie, jeśli się poruszą — powiedział.

— 33 —

Było mało prawdopodobne, że Kells lub Berdot będą usiłowali uciec. Zabierając narzędzia Nort, Sydney i Wayty rozpoczęli wejście wzdłuż stoku olbrzymiego stożka. Nort szedł na przodzie, używając jako znaków orientacyjnych naturalnych tarasów z lawy i szczelin potężnego krateru.

Myśli Norta skoncentrowały się na levium. Ten na pół legendarny pokład najbardziej tajemniczego z pierwiastków trzeba koniecznie znaleźć, w przeciwnym razie wszystkie cierpienia, wyrzeczenia i śmierć towarzyszy okażą się bezcelowe. Jeśli stary Torn Lourelle rzeczywiście wiele lat temu przeszedł tę niebezpieczną drogę i odkrył levium, to ten skarb powinien tutaj jeszcze być.

Doszli wreszcie do ściętego stożka szczytu i przypadli na chwilę do ziemi, kurczowo trzymając się zębatych występów na skraju samego krateru.

— Czyżbyśmy musieli tam włazić? — z przerażeniem zapytał Filip Sydney.

— W notatkach Lourella jest powiedziane, że levium znajduje się w kraterze — odrzekł Nort. — Widocznie znalazł jakąś drogę na dół.

Otwór krateru był prawie pionowym szybem o średnicy około stu stóp, spadającym w dół, w czarną, ślepą głębię. Ściany tej studni wulkanicznej, jak i stoki szczytu z zewnętrznej strony, były pokryte występami i szczelinami, a w dole jarzyła się płynna lawa.

— Widzę zejście — zawołał Wayty. — Tam, na północnej ścianie gardzieli.

— Idziemy — powiedział Nort.

Obeszli krater naokoło, pochylając się przed gwiżdżącymi wichurami dymowymi. Ściany krateru chroniły ich od dzikich prądów atmosferycznych. Drżenie ziemi przy każdym grzmocie wydawało się tutaj silniejsze niż na bazaltowym płaskowzgórzu.

To schodzenie w głąb krateru było dużo gorsze od chodzenia na zewnątrz. Musieli wyszukiwać drogę od występu do występu, ani na chwilę nie zapominając, że potknięcie oznaczało upadek w płynną ławę, przeświecającą czerwono na dnie głębokiego szybu.

Nagle John Nort zauważył słabe, niebieskawe światło migocące z wgłębienia w ścianie krateru. Serce jego gwałtownie zakołatało.

— Prędzej! — krzyknął ochryple. — Prędzej!

Zeszli na pochyły placyk, koło którego w ścianie krateru znajdował się rodzaj wklęśnięcia. Otwór wejściowy miał wysokość wzrostu ludzkiego.

Nort wszedł i znalazł się w niedużej pieczarze. Wnętrze tej pieczary było oświetlone dziwnym, chłodnym, błękitnawym światłem. Wydobywało się ono z góry i wszyscy trzej podnieśli głowy.

— Levium! — krzyknął Wayty. — Johny, spójrz, ile tego tu jest!

Pod sklepionym sufitem pieczary znajdowała się jajkowata masa ścisłej

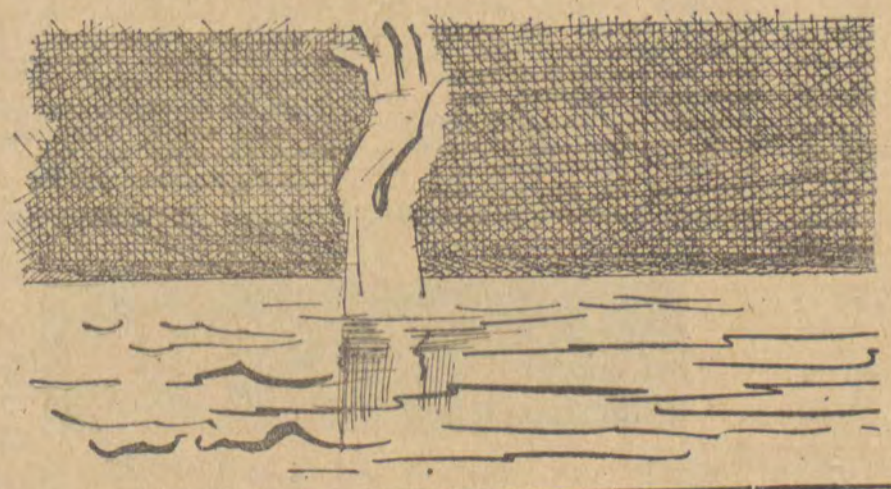

— 34 —

kamienistej substancji świecącej chłodnym, niebieskim światłem. Wielka masa levium cisnęła się do stropu usiłując wydostać się z tego więzienia, w którym tak długo przebywała.

Nort wyobrażał sobie historię geologiczną tego minerału. Urodzone w rdzeniu ognistej masy Oberona, levium w ciągu tysiącleci przeciskało się coraz wyżej, unoszone w przestrzeń dziwną siłą odwrotnego przyciągania. Znalazłszy się w tej pieczarze, pozostawało w niej, jak w pułapce, miliony lat.

— Teraz wiemy, dlaczego Torn Lourelle zdołał przywieźć tylko kawałek — ochrypłym głosem powiedział Nort. — Żaden samotny człowiek nie mógłby poradzić tej masie.

— Johny, jak my stąd wyciągniemy tę sztuczkę? — zapytał zaniepokojony Wayty.

— Jedno jest tylko wyjście — odrzekł Nort. — Musimy znaleźć zwykły kamień, dość ciężki, aby zrównoważyć ujemny ciężar levium.

Znaleźli taki głaz w rogu pieczary — odłamek bazaltu, który dostał się tutaj wskutek drgania Gromowego Księżyca.

Stanąwszy na tym kamieniu wsunęli łomy nad masę levium, aby narzucić na nią sznury i ściągnąć bryłę na dół. Ledwie jednak poruszyli minerał, gdy z pułapu pieczary, do której od wieków był przyciśnięty, zaczęły się sypać odłamki kamieni.

— Johny, sufit może osiąść wprost na nas! — krzyknął Wayty.

Nort zrozumiał niebezpieczeństwo. Kawał levium pracy do góry w ciągu wieków, spowodował pęknięcia w pułapie pieczary. Jeśli teraz zabierze się levium, to ostatni filar, na którym trzyma się pułap, zniknie, i nieustanne wstrząsy Księżyca Gromowego zwalą na nich sklepienie pieczary.

— Musimy wyciągnąć levium bardzo prędko — oświadczył Nort.

Przydała się cała siła trzech mężczyzn, aby ściągnąć levium na dół przy pomocy narzuconych na nie sznurów. Gdy pośpiesznie przywiązali je do kamienia, z sufitu posypały się nowe odłamki.

Przywiązany kamień nawet więcej niż zrównoważył ujemny ciężar levium. Obydwa związane razem kawały posiadały kilka funtów dodatniego ciężaru.

— Następny silniejszy wstrząs zawali całą pieczarę! — krzyknął Nort z trwogą. — Prędzej, wynośmy levium.

— Jeszcze nie! — zabrzmiał znany, ochrypły głos.

Odwrócili się błyskawicznie. U wejścia stał Charles Berdot z pistoletem atomowym skierowanym w ich stronę.

Na zewnątrz przed wyjściem zauważyli sylwetkę Kellsa.

— Moja gra jeszcze nie jest skończona, Nort! — oświadczył Berdot podnosząc pistolet. — Wasz przyjaciel Dorak stracił przytomność z bólu...

Nort zamknął oczy. Wiedział, że ani on, ani Sydney nie zdążą już wydostać broni.

Lecz palce Berdota na ułamek sekundy zatrzymały się na spuście, gdy awanturnik spojrzał na promieniejącą masę levium.

— Skarb Gromowego Księżyca! — szepnął.

Uderzenie pioruna zagłuszyło jego słowa. Z trzaskającego pułapu posypał się deszcz odłamków kamiennych. Uderzyły one po wyciągniętej ręce Berdota, wytrąciły pistolet, a jego zmusiły do odskoczenia w tył.

— Pieczara zapada się! — ryknął Wayty Johnes. — Uciekajmy!

Schwycili związane kawały levium i kamienia i pośpiesznie ciągnąć je zaczęli do wyjścia. Bezbronny bandyta Kells, który czekał przed wejściem, uciekł.

Oszołomiony Berdot szukał swego pistoletu, gdy Nort z Sydney'em w niezwykłym pośpiechu przeciągali levium przez wąski otwór. Wtem cały pułap pieczary zwalił się na awanturnika z ogłuszającym hukiem.

Ale sklepione wyjście z pieczary też już opadało nad Nortem i Sydney'em. Wayty skoczył w ten zwężający się otwór i jego olbrzymia postać napięła się w nieludzkim wysiłku, aby podtrzymać plecami i ramionami spadające masy kamienia.

BABKA

Dalszy ciąg wspomnień Jana Sztaudyngera o swoich dziadkach

Mniejsza o to, co kto przez całe życie robił, czym był lub nie był, czego dokonał, a czego nie tknął, tu w Miłowodach był niczym. Był dla zabawy, dla wypoczynku. Nic nie robił i po to był ażeby nic nie robić. Wszystko robiła babka. Pamiętam stateczny, trwały, filarowy wygląd dziadka. On to był istotnie finansowym słupem całej tej imprezy. Babka natomiast była jedynym filarem, że tak powiem, technicznej części przedsiębiorstwa.

Babka wyrażała się cała w akcji, w dążeniu i w pragnieniu. Miała ręce zawsze czynne i serce zawsze nienasycone. Jako dziecko była dzieckiem n-tym, którymś tam z kolei, na szarym końcu, a miała kilkanaścioro rodzeństwa.

Nie pasowała do niej rola jednego z dzieci. Ona powinna była być jedynaczką. Koniecznie. Nigdy nie mogliśmy tego pojąć, że babka, ta jedyna, ta wyłącznie zdawałoby się możliwa żona dziadka, była żoną dopiero drugą, a do tego dla części dzieci nawet i macochą. Trzeba było długo myśleć, nim to się dało pojąć.

Ktoś ze starszych krewnych powiedział mi kiedyś, że babka nie była ładna. Słowa te bardzo mnie zdziwiły. Cóż z tego, że miała twarz asymetrycznie skrzywioną, że jeden kącik ust opadał ku dołowi. Mnie zawsze wydawała się prześliczną, najśliczniejszą. Może to sugestia oczu pięknych, może czar dobroci, a może fotografia jej z lat młodych, pieczołowicie w biurku przechowywana, sprawiły to, że dla nas zawsze jednakowo posiadała nieodparty urok. Przy tym w sposobie, w jaki podawała nam tę miłość, było coś pańskiego, nie miało to w sobie nic z charakteru pokornej, nieśmiałej, psiej miłości, jaką często darzą dzieci i wnuki kobiety stare, brzydkie i nigdy przez nikogo nie kochane.

Dziadek, aczkolwiek tak poważny, należał do nas, dzieci, przez rodzaj zajęć, którym się oddawał. Ona natomiast należała do nas przez niezbyt wysoki wzrost. Na drzwiach jej pokoiku był naznaczony postęp we wzroście nas pięciorga, nader szybko kreski te biegły w górę, aby wreszcie doścignąć i prześcignąć wzrost babki. Ale a propos pokoju. Dziadek mieszkał w najdalszym, najcichszym, najpiękniejszym, babka w lecie gnieździła się w najmniejszym ze wszystkich, w istnej dziupli, a w zimie ze względów oszczędnościowych lokowała się w najbrzydszym, licho opalonym pokoju przy kuchni.

Lubiła potrawy proste, niewyszukane. Przez nią poznałem żur, zacierkę, sutkę, przekręcaliśmy jej miano na suczkę, i prażuchy. Widocznie dlatego, że potrawy te skojarzyły mi się z Miłowodami i z babką, smakują mi zawsze wybornie. Za talerz zacierki oddałbym pieczeń wieprzową. Pamiętam długi stół miłowodzki, stolnicę wysypaną mąką i drobne kulki, lepione przez cierpliwe palce babki. Zacierka wymagała wielkiej pracy. W zacierce tyle było kulek, a każdą grudkę ciasta babka brała w palce osobno i nadawała jej kulisty kształt ziemi. Buntowałem się. Czy nie można po prostu posiekać ciasta tasakiem i rzucić do mleka. Nic podobnego. Takie kulki są o wiele mniej smaczne. Ze zdziwieniem widziałem, ile trudu zadaje sobie ambitna gospodyni, aby tylko jej arcydzieło smakowało stołownikom. Ten trud babki, który na własne oczy oglądałem, spowodował, że patrawy te nabierały dla mnie poezji, stawały się na ogół mistyczne. Jadłem je ze smakiem i ze skupieniem, jak nigdy przedtem i nigdy potem. Pewnego razu zdarzyło się, że z dworku na Rzeczkach wszyscy wyjechali i zostaliśmy z babką tylko we dwoje. Były to dnie wydarte szkole i jesieni. Przedwcześnie dojrzały śnieg spadł polewą na zapóźnione kiście winogron. Całymi kępami leżały te zielone spóźnialskie wyzierając okrągłymi buziami z białej pierzyny. Śnieg i winogrona. To przetasowanie pór roku urzekało mnie swoją niezwykłością. Zrywałem te śnieżne winogrona i jadłem w skupieniu.

A wieczorem, gdy gałązki lipy przestały już rzucać niespokojne cienie na posadzkę jadalnego pokoju, a za to filuterna i filująca lampa wyolbrzymiała groteskowe cienie osób na ścianach, zasiadałem z babką do gry w garibaldkę. Był to rodzaj pasjansu na dwie osoby, a cały smak gry polegał na dawaniu sobie nieżądanych prezentów. Gdy przegrywałem, dostawałem klapsy po rękach, gdy babka przegrywała, całowałem jej ręce, zwiędłe jak jabłka koło Wielkanocy. Babka bywała wieczorami, zmęczona całodzienną krzątaniną, ale grywała ze mną ofiarnie. Trudno jej było się skupić, tak że na ogół więcej spadało pocałunków na jej ręce niż klapsów na moje. Do gry zasiadaliśmy po przeciwnych stronach stołu, z daleka od siebie. Tak że ona, aby dać mi klapsa, musiała wstawać z krzesła i pochylać się nad stołem. A ja bez ceremonii obiegałem stół dookoła, aby pocałować ją w rękę. Za oknami wiatr lekko powiewał, bębnił kościstymi palcami w szyby, mieszając klapsy swych porywistych podmuchów z nieśmiałymi pocałunkami opadających liści. Nie wszystkie liście jeszcze opadły, choć zżółkły się krwią i pożółkły żółcią śmierci. Dlatego było tak pięknie, dlatego mogłem grać z babką.

Jan Sztaudynger

SAMOBÓJCY

(Dokończenie ze str. 8)

mimowolne. Znane są liczne wypadki przecięcia żył na szyi lub rękach podczas usiłowania zabicia

STAN CYWILNY SAMOBÓJCÓW
(dane z r. 1956)

żonaci i zamężne	504
kawalerowie i panny	232
wdowcy i wdowy	121
rozwiedzeni	17
stan cyw. nieznany	53

węża, który się objawił majaczącemu choremu.

Często samobójstwa towarzyszą psychozom lękowym i urojeniom prześladowczym. Zachwiana równowaga psychiczna nie umie odeprzeć myśli o samobójstwie, która w tych schorzeniach pojawia się niespodziewanie, w sytuacjach niekiedy zaledwie skomplikowanych, dalekich od dramatów czy prawdziwej tragedii życiowej. Znajdą się tu samobójstwa z zawiedzionej miłości, ze wstydu przed otoczeniem i opinią, z powodu zgoła nieistotnych powikłań w życiu rodzinnym i towarzyskim, nierzadko jako tragiczny wyraz protestu, jedyny sposób „postawienia na swoim".

W fazie depresji psychozy maniakalno-depresyjnej spotyka się wypadki wręcz wyrafinowanych samobójstw, przeprowadzonych z premedytacją, metodycznie, planowo, bezbłędnie. Z opisów odnosi się wrażenie, że chory odbiera sobie życie, aby zainkasować maksimum przyjemności i satysfakcji. Niekiedy przy tych rodzajach samobójstw pojawia się paradoksalna wręcz w tym układzie troska o zbawienie duszy. Samobójca, mając na względzie możliwość niepochowania go w obrządku wyznaniowym, symuluje wypadek lub morderstwo. Niejednokrotnie denat symuluje morderstwo, aby dodatkowo zemścić się w ten sposób na osobie, na którą jego zdaniem padną podejrzenia z wszystkimi kryminalnymi konsekwencjami. Bywa i tak, że samobójca nie symuluje morderstwa, ale w pozostawionym liście wskazuje osoby „moralnie odpowiedzialne" — niejednokrotnie z kręgu najbliższej rodziny.

Gwałtowne, afektywne samobójstwa zdarzają się w schizofrenii, zwłaszcza przy okresowym powrocie do stanu normalnego, kiedy chory odzyskuje nagle wgląd w swoją sytuację i jej społeczne piętno. Prosiłby się tu obszerny komentarz o kołtuńskim traktowaniu umysłowo chorych. Przytoczę dwa przypadki, z których jeden zakończył się tragicznie.

ART. 228
KODEKSU KARNEGO:

„Kto namową lub przez udzielenie pomocy doprowadza człowieka do targnięcia się na własne życie, podlega karze więzienia do lat 5".

L. B., studentka medycyny, po niezdanym egzaminie zażyła większą dawkę luminalu. Odratowaną przewieziono do szpitala w Kochanówce, gdzie stwierdzono początkowe stadium schizofrenii. W czasie półtorarocznej kuracji, chora stykała się ze swym otoczeniem, które w formie aluzji i różnych uwag dawało do zrozumienia swoją niedwuznaczną opinię o jej stanie. Spowodowało to chorą do dalszych, dwukrotnych prób odebrania sobie życia — tym razem przez powieszenie. Szczęśliwie odratowana i całkowicie wyleczona, przeniosła się ze wskazania lekarskiego do innego miasta, ukończyła medycynę i jest obecnie lekarzem.

ART. 229
KODEKSU KARNEGO:

„Kto zawiera umowę, oddającą losowi rozstrzygnięcie pytania, która strona ma odebrać sobie życie, podlega karze więzienia do lat 5".

W drugim przypadku J. Z., urzędnik, leczony schizofrenik odebrał sobie życie nie mogąc ścierpieć drobnych dokuczliwości sąsiadów, którym wiadomy był jego pobyt w szpitalu psychiatrycznym.

Schizofrenia nie zamyka listy chorób umysłowych usposabiających do samobójstwa. Jest jeszcze wiele przypadków statystycznie mniej reprezentatywnych i rozpoznawczo kontrowersyjnych.

Interesujący jest niewątpliwie przebieg procesu psychicznego rodzącego myśl samobójczą. Nie ma na to żadnej recepty, ani typowego schematu, a obraz rzeczywisty odbiega daleko od plastycznych opisów Goethego, Żeromskiego, Londona i wielu innych pisarzy podejmujących ten niezmiernie skomplikowany ludzki problem.

Relacje pochodzą oczywiście od odratowanych. Udzielają ich zresztą niechętnie, większość wstydzi się swojego czynu, dziękuje za uratowanie życia. Najczęściej wskazywane motywy są ogólnikowe, niewiarygodnie błahe, wprost groteskowe w obliczu śmierci. Jeśli występuje motyw poważny, to prawie zawsze urojony, nawet bez poważniejszego wstrząsu, który ewentualnie mógłby być pretekstem, kroplą przelewającą przysłowiową „czarę goryczy". Gdy przyczyną samobójstwa były lekkie schorzenia psychiczne — niedoszli samobójcy wracają na ogół do normalnego życia. Są, rzadziej, w powikłanych stanach depresyjnych wypadki, że odratowani po odzyskaniu przytomności niezwłocznie usiłują ponowić próbę samobójstwa, złorzeczą otoczeniu, trzeba ich obezwładniać i trzymać pod baczną obserwacją.

Relacje otoczenia samobójców, którym powiódł się zamach na własne życie, podkreślają szokujące zaskoczenie tym czynem. Są wprawdzie wypadki, że denat „odgrażał się" zamiarem samobójczym, ale otoczenie zlekceważyło te pogróżki konfrontując je z nieprzydatną tu, niestety, logiką i normalna hierarchią przeżyć emocjonalnych. Prawie nie spotyka się sytuacji, w których samobójstwo nastąpiło natychmiast po bardzo silnym, tragicznym wstrząsie. Wstrząs taki można często odszukać w życiu denata — ale mniej lub więcej wyprzedza on samobójstwo w czasie i może być domniemaną przyczyną choroby umysłowej, stwarzającej z kolei grunt podatny dla kiełkującego zamiaru odebrania sobie życia.

ZGONY SAMOBÓJCZE ZAREJESTROWANE PRZEZ MO W R. 1956

Ogółem	927
w tym wieś	341
miasta	586
mężczyźni	680
kobiety	247

ART. 247
KODEKSU KARNEGO:

„Kto nie udziela pomocy człowiekowi znajdującemu się w położeniu, grożącym bezpośrednim niebezpieczeństwem dla życia, mogąc to uczynić bez narażania siebie lub osób bliskich na niebezpieczeństwo osobiste, podlega karze więzienia do lat 3 lub aresztu do lat 3".

Pragniemy w końcu zanotować ów znamienny fakt: front walki ze śmiercią przedłużyła medycyna na zapobieganie samobójstwom. Posiada dziś środki i sposoby, aby obezwładnić zawczasu rękę targającą się na własne życie. Trzeba więc pomóc medycynie. Im mniej dywagacji na temat: bohater czy tchórz — tym lepiej.

ANDRZEJ MAZUR

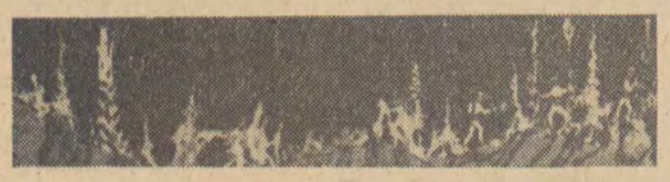

Humor wakacyjny ● Humor wakacyjny ● Humor

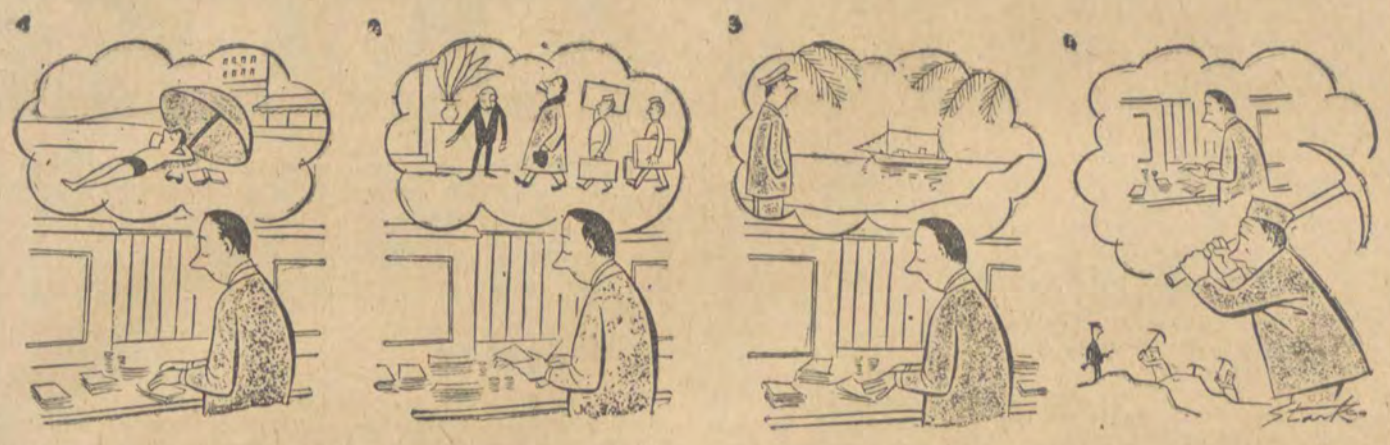

Humor wakacyjny ● Humor wakacyjny

Do żony kibica, Jeana Prouffa i tych od gwizdania

Daremny smutek szanownych małżonek, nic nań nie poradzimy. „Wszystko ma swój kres, dziewczyno" — oto cała nasza, za piosenką starą jak świat powtórzona perswazja. Antrakt w rozgrywkach ligi piłkarskiej też musi się kiedyś skończyć, kanikuła nie trwa wiecznie. Z tym, psiabramka, wypada się pogodzić. Rozchmurz przeto lica, małżonko jedna i druga i nie żądaj, aby w przyszłe pogodne niedziele mąż-kibic podążał za tobą i dziatkami na zieloną trawkę w Kolumnie.

— „Józiek, skocz no po limoniadę" — to było dobre w lipcu. W sierpniu i dalej, aż po świętego Marcina rozrywkę z kolei będzie miał mąż. Doceń, żono, wypróbowaną receptę na małżeńską harmonię — respektowanie czyjegoś „konika". Nie kłuj też lubego opowiastkami o szczęściu małżonki niejakiego Krajewskiego, który odżegnuje się od kibicowania jesiennej turze ligowych bojów. O tym eks-kibicu mąż słyszeć nie chce. Krajewski nigdy nie był pełnowartościowym kibicem. Stąd tak łatwo przyszło mu wziąć nogi za pas, postawić krzyżyk na wszystkim i w barze piwnym na Piotrkowskiej proponować złośliwie przechrztę ŁKS-u na „Rycerzy Remisów".

— Słuchaj no pan, panie wyżej wymieniony, chłopcy z ŁKS-u strasznie cieszą się, że nie będziesz pan przychodził na stadion przy Al. Unii. Tych od gwizdania nigdy nie brakuje. „Pomuzykują" bez pana. Na pewno. Do tej czynności znajdą oni, koci muzykanci, zawsze asumpt. Pan się cieszy z tego, a ja nie. I myślę, że gdyby tak wreszcie jakiemuś mądremu w medycynie udało się wynaleźć środek na długowieczność – znacznie przykróciłoby się tych spod znaku gołębnika. Najstarszy piłkarz ŁKS-u, Soporek, po zażyciu owego cudownego eliksiru czułby wiecznie w swoich 32-letnich nogach krzepę i lekkość dwudziestolatka. Grałby zawsze tak jak dawniej. Mrówcza pracowitość i techniczne sztuczki? Proszę bardzo. Gola? Z woleja czy główką, jednego, dwa, cztery? Służę.

Na razie nic z tych rzeczy. Lekarstwo na przedłużanie kariery sportowej nawet nie w drodze. Będą więc padały pod adresem zawodnika nie błyszczącego jak ongi grą na boisku epitety, docinki — „mięso". Z pogranicza chamstwa. Niech ma. Biada sportowcom, którzy szczyty własnych możliwości mają poza sobą i weszli w okres zawodniczej starości. W ŁKS-ie jest takich, do niedawna filarów zespołu, kilku. Stąd remisy i ledwo wykołatane trzecie miejsce na półmetku rozgrywek ligowych. Jedni, zawsze w zgodzie ze stanem posiadania, zadowoleni są i z tego, drudzy — „wyrzucić ich z drużyny, krowy paść".

To teraz ja pana wygwizdam, panie tego, no... gołębiarzu. Nie zawsze wypada pójść za radą zalecającą odejście we właściwym czasie. Ten i ów z ełkaesiaków zrobi to kiedyś na pewno. Może pożegna piłkę, gdy doczeka się jak Staszek Baran come back'u na jeden sezon wielkiej formy. A już z całą pewnością wtedy, kiedy drużynie przybędzie równy jemu zastępca. Na razie jest drużynie potrzebny, tymczasem Soporek strzelił 6 bramek na 17 zdobytych przez biało-czerwonych. Trzej nowi i młodzi w zespole — Sass, Suski i Sarna ponownego mistrzostwa Polski nie czynią.

Toteż zamiast palce w buzie — prosić prezesów, by na głowie stawali a wychowywali następców Soporka, Szymborskiego i innych spod trzydziestki. A z tym wychowaniem młodych rzecz ma się zupełnie ciężko. Każdy tata to wie. Wielkość sprawy, bo mrzonka o wysokim locie polskiego piłkarstwa, wymaga służenia młodym najlepszymi wzorami i i doskonałymi nauczycielami. Takowych zaś nie ma w domu, o czym przekonują obecni reprezentanci kraju, którzy ongiś też juniorami byli ale w wieku seniorów finału mistrzostw świata nie wywalczyli. Nad faktem tym mecenasi z PZPN wielkie łzy polali, skutkiem czego sprowadzenie onegdaj trenera z zagranicy. Francuza Jeana Prouffa, świetnego rzekomo fachowca. Niestety, nie będzie on uczył poprawnego kopania piłki juniorów. Przydzielono mu kadrę seniorów, panów grubo po dwudziestce. Nic, tylko pęknąć z przerażenia. — Mecenasi kochani, wiecie co to przysłowia, które są mądrością ludu? A to znacie: „Czego Jaś się nie nauczył, tego Jan nie umie". I żaden Prouff go nie nauczy.

Wyższej akrobatyki z piłką i szybkości — już nie. Z tymi rzeczami trzeba do Jasiów-juniorków. Wówczas, za parę lat, „załatwią" oni Hiszpanów w 4 : 2 dla Polski.

Żal mi monsieur Prouffa. Naharuje się chłopisko, namęczy a za rok, dwa, okaże się, że z tej mąki chleba nie będzie. Wróci do Francji, za nim zaś pójdzie rekomendacja o jego słabych kwalifikacjach i niefachowości. Słowo daję, tak już bywało. Z kilkoma Węgrami, których parę lat temu również sprowadzono do naszych piłkarzy i rozkazano: zróbcie z nich wunderteam. Kiedy okazało się, iż z rzemieślnika artysty nie zrobisz, huzia na trenerów znad Balatonu:: ignoranci.

Panie Prouff, ja pana ostrzegam. Prawda, język Polaków zna pan słabo. Szkoda. Pomogłem zrozumieć pewne rzeczy żonom kibiców i tym od gwizdania, Jeana z Paryża powierzam przeto komuś mocniej zaawansowanemu we francuskim. Ja tylko: merci.

Ełkaesiak

Bez podpisu

Bez słów

Mieszaniny

pod redakcją JANA HUSZCZY

Miss Kopystkowa

Wreszcie i w Kopystkowie zespolono wysiłki miejscowych organizacji i instytucji, aby doprowadzić do wyborów własnej królowej piękności i nadać jej dumny tytuł „m i s s"...

Najwięcej nieporozumień przyniosły dyskusje, związane z opracowaniem odpowiedniego regulaminu konkursu.

Początkowo postanowiono zwrócić uwagę jedynie na zalety fizyczne kandydatek czyli przede wszystkim na jakość twarzy, jędrność pośladków i strzelistość kończyn dolnych.

Potem jednak okazało się, iż niektóre żony wpływowych mężów Kopystkowa postanowiły także ubiegać się o palmę pierwszeństwa, której widomym symbolem był kryształowy puchar i komplet nylonowej bielizny.

Żony wpływowych mężów nie zawsze, niestety, odznaczają się odpowiednimi walorami fizycznymi. Zaczęto więc głowić się nad pomysłowym rozwiązaniem problemu. Ktoś nawet zaproponował, żeby przypomnieć i zastosować tzw. klucz.

Jednak przewodniczący miejscowego Frontu Narodowego — zresztą, stary kawaler — zdecydowanie przeciwstawił się próbie wprowadzenia polityki do zespołu, jak się wyraził, zagadnień estetycznych.

Wtedy z nowym projektem wystąpił niejaki Cietrzewiak, inspirowany przez swoją uroczą małżonkę, której czas narodzin nieprzyjazne sąsiadki umieszczały w początkach dwudziestego wieku.

Ambitna małżonka chciała wziąć udział w konkursie, wysyłając na ten czas swoją ładnie podrastającą córeczkę na pobyt do ciotki.

Cietrzewiak — osoba wpływowa w Radzie Narodowej i w dwóch gospodach — podstępnie zaproponował, żeby przed dopuszczeniem do eliminacji zastosować pobieżne badanie stanu umysłowego ubiegających się o kryształowy puchar.

Nie zorientowano się i lekkomyślnie zgodzono się na tę propozycję. Opracowano, po dłuższych debatach, cztery pytania dla kandydatek. Dopiero trafne odpowiedzi na te pytania uprawniały do udziału we właściwym współzawodnictwie.

Pytania te brzmiały:

a) Kto odkrył Amerykę?

b) Kto to taki Onufry Zagłoba?

c) Co wiesz o Einsteinie?

d) Napisz trzy słowa: „pszenica", „gulasz", „okulary"...

Gdybyśmy chcieli przytoczyć odpowiedzi najpiękniejszych kandydatek na te pytania, posądzono by nas o złośliwe pastwienie się nad sympatycznymi obywatelkami Kopystkowa.

Dlatego też tych odpowiedzi nie przytaczamy, pozostawiając szerokie pole do domysłów dla naszych czytelników. My zaś sami ograniczymy się tylko do poinformowania, iż z konkursu zwycięsko wyszła właśnie żona ob. Cietrzewiaka, mimo iż wygrany komplet nylonowej bielizny był dla niej o wiele za ciasny.

Wynik ten nikogo w Kopystkowie, oprócz państwa Cietrzewiaków, nie zadowolił. Zaczęły się więc szemrania i złorzeczenia, a nawet kilka protestów, zaopatrzonych w dużą ilość podpisów, wysłano do gazet warszawskich.

Nic więc dziwnego, iż Prezydium Miejskiej Rady w Kopystkowie powzięło dalekowzroczną uchwałę, aby w przyszłych wyborach nie zadawać kandydatkom na królowe piękności „niedyskretnych pytań", ograniczać się zaś do oceny ich zalet i uroków fizycznych. Powołano się przy tym na to, iż kandydatów na urzędy w Miejskiej Radzie także nie poddawano żadnym próbom określenia ich zasobu wiadomości.

●

KALIKST ŁASICZKA

Kiedy umrę...

Kiedy umrę, pochowajcie
przed starostwem mnie na
skwerze,
do rąk teczkę moją dajcie,
a gitarę szef niech bierze.

Z meldunkowej księgi potem
mnie wykreślcie przepisowo,
pamiętajcie także o tem,
że Cackiewicz ma wyjść
z mową.

Niechaj wszyscy referenci
mają wolne popołudnie
i na czułej znak pamięci
niechaj żona moja schudnie!

Niechaj wierzba ta zajęczy,
co na skweru stoi straży...
Wam niech błyśnie wstęga
tęczy
jak podwyżka nagła gaży.

●

Przegląd prasy

Tygodnik „Wędrowiec" z 1899 roku m. in. donosi:

„Pewien reporter zdołał zebrać dane, dotyczące wagi i wzrostu niektórych władczyń europejskich. Jeżeli mamy uwierzyć zapewnieniom ciekawego kronikarza, królowa Wiktoria waży 87 kilo, obwód jej talii wynosi 78 cm, wzrost — 1,48 m. Królowa włoska waży 89 kg, ma 1,62 m wzrostu, obwód figury 71 cm. Wzrost królowej regentki hiszpańskiej sięga 1,62 cm, waga 70 kg. Młoda holenderska władczyni waży 58,5 kg, obwód jej talii sięga 53 cm, jest wzrostu dobrego, mierzy bowiem 1,65 cm..."

Nasza krzyżówka

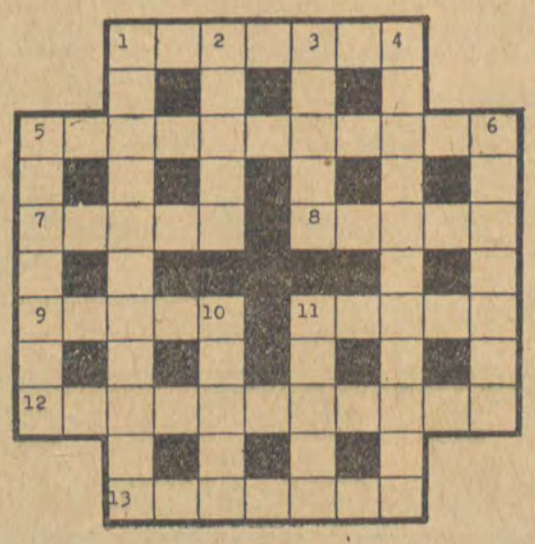

ZNACZENIE WYRAZÓW:

POZIOMO — 1) Jurysta, 5) Znawca znaczków pocztowych, 7) Tonacja, 8) Córka Tantala, mityczna królowa tebańska, 9) Miasto między Brukselą i Akwizgranem, 11) Jeździec arabski, tytuł utworu A. Mickiewicza, 12) Sposób zapisywania przemówień za pomocą umownych znaków i skrótów, 13) Część świata.

PIONOWO — 1) Występowanie w ciągu indywidualnego rozwoju organizmu cech zanikłych już w procesie ewolucji danej grupy, 2) Kwiat, 3) Sztuczne tworzywo poliamidowe, 4) Opis świata oparty na wynikach badań różnych działów astronomii, 5) Służalec, pochlebca, 6) Utrata zdolności czytania, 10) Długie i szerokie szale futrzane, 11) Utwory sceniczne, komedie,

TERMIN NADSYŁANIA ROZWIĄZAŃ — 2 TYGODNIE.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 23.

POZIOMO — kasztan, lato, Uran, lada, staw, rafa, tuz, Irak, matrona, Zuzanna, nietakt, mennica, atar, akr, tusz, szef, mila, menu, raid, szarada.

PIONOWO — koma, sałatka, tłuszcz, nuda, łupa, Nina, laur, wina, Rumunia, kramarz, osa, Zan, trafika, Marmara, nota, Zeus, lira, tram, swąd.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. ZOFIA GŁOWACKA, Gliwice, ul. Nowotki 30 m. 5.

2. JAN STOPA. Zamość, ul. Sienkiewicza 3 m. 8.

Redaguje Zespół :: Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79 :: Warunki prenumeraty: miesięcznie 4.– zł. kwartalnie 12.– zł :: Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca :: Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" – z zaznaczeniem na „Odgłosy" :: Druk RSW „Prasa" – Łódź, Żwirki 37
Zam. 2320. VII. S-3.

Mitologia francuska

Korespondencja własna

Mitologia francuska jest spontaniczna. Powstaje na użytek jakiegokolwiek przedsiębiorstwa, sezonu, mody czy sytuacji. Klasa, partia czy „milieu" posiadają mitologię, której dają się podporządkować, której ufają, czasem nieświadomie wierzą. Mitologia dotyczy przede wszystkim konsumenta, „szarego człowieka", jej autorzy są nią zainteresowani o tyle, o ile od faktu jej stwarzania zależeć może ich racja bytu. Mitów jest więcej aniżeli mogłoby się zdawać na pierwszy rzut oka.

Potrafił to w sposób interesujący udowodnić Roland Barthes. Oryginalny i samodzielny krytyk jest autorem książki „Mitologie". Obok zamieszczonej tam rozprawy teoretycznej traktującej o naturze i różnych postaciach mitu w dobie współczesnej, Barthes zebrał w swej książce znaczną sumę charakterystyk i opisów najdrobniejszych, mniej czy bardziej oczywistych mitów. Zwróćmy jednak najpierw uwagę na to, co Barthes rozumie przez mit. Otóż mitem jest dla niego specjalny typ języka, nie tylko zresztą w sensie lingwistycznym, stylistycznym. Obraz także będzie owym typem języka mitologicznego, mitotwórczego. Mit definiuje się nie przez to, co komunikuje, lecz przez to, jak komunikuje. Wszystko może się stać przedmiotem mitu.

Ta prawda zdaje się sprawdzać we Francji na każdym kroku. Poświęćmy kilka słów reklamie. Tutaj stosunkowo łatwo można uchwycić cechy języka mitotwórczego. Już poczciwy Goethe stwierdził kiedyś, że okazjolność poezji bynajmniej jej nie deprecjonuje. Francuzi, zda się, w potworny sposób zwulgaryzowali to mądre zdanie wielkiego Niemca. Rym i rytm, a także metaforę potrafili zaangażować na usługi reklamy pasty do butów, czekolady, proszku do prania, bielizny damskiej czy papieru toaletowego.

I tak w kinie, na kilka minut przed rozpoczęciem seansu, widz zostaje nagle wprowadzony w niezwykłe królestwo zdarzeń, hiperbolicznych wypadków, melodyjnych i rytmicznych piosenek oraz efektownych sentencji. Mechanizm mitu jest prosty: chodzi o to, aby w każdej sytuacji życiowej, każdy z widzów był „uświadomiony", wiedział jak się zachować. Brudna koszula jest bodźcem, zakupienie proszku do prania firmy „Lux" jest odruchem. Dlaczego tak się dzieje? Dlatego, że w kinie pokazano „niezwykłe" zdarzenie, zakończone „happy endem", oczywiście na skutek interwencji proszku do prania „Lux". Oto urocza (cecha nieodzowna wszystkich kobiet reklamujących, aby te nie-urocze na widowni mogły czuć się uroczymi w przyszłości, używając np. proszku do prania „Lux") młoda mamusia zanadto przedłużyła rozmowę telefoniczną, podczas gdy jej mały synek pożywiający się filiżanką czekolady (notabene firmy „Banania") niesamowicie pobrudził bieliznę znajdującą się w kuchni. Matka wpada przerażona, ale za chwilę jej twarz się rozpromienia. Przecież istnieje cudowny proszek „Lux"! Francuzi, wychodząc ze słusznego założenia, że suchy komunikat, czy nawet nieruchomy obraz niewiele jeszcze załatwiają, wyspecjalizowali się w specjalnym typie reklamy „z anegdotą".

Istnieją także reklamy posiadające swoją naukową dokumentację. Tak dzieje się np. z reklamami środków przeciw łysinie. We Francji szeroko reklamuje się kilka co najmniej takich preparatów naukowych. Zwykle wymienia się wszystkie składniki wraz z podaniem wzorów chemicznych. I tutaj do głosu dochodzi obraz, wyrażający sytuację ostateczną, albo prawie ostateczną, tzn. taką, w której danemu mężczyźnie zostało na głowie już tylko kilkanaście włosów. Otóż najczęściej na wystawach zakładów fryzjerskich porozwieszane są duże arkusze z kilkunastoma fotografiami rozmieszczonymi parami: jedna z nich przedstawia mężczyznę mocno już wyłysiałego, druga tego samego osobnika po dwu czy trzyletnim aplikowaniu sobie (systematycznie) odnośnego środka z cudownie odrosłymi na głowie (bujnymi!) włosami. Ktoś mógłby pomyśleć więc, że nie ma tu łysych mężczyzn, widzi się ich jednak równie dużo, jak i gdzie indziej. „Cudowne preparaty" są tak zapakowane, że szybko się zużywają, z drugiej strony tekst umieszczony pod fotografiami nakazuje systematyczność. Wszyscy „niewolnicy mitów" są więc obowiązani dosyć często kupować nową porcję preparatu, aby zadośćczynić wskazaniom, zagwarantowanym autorytetem nauki. Przedsiębiorstwa świetnie prosperują.

Mit gwiazdy filmowej, mit miłości wśród gwiazd filmowych oraz mit małżeństw zawieranych w środowiskach artystycznych dostarczyć może ciekawych spostrzeżeń. Powszechnie wiadomo, że z filmem łączy się zjawisko gwiazdy („star"). Reklama filmu sprowadza się w zasadzie do trzech elementów: reklama nazwisk gwiazd wypisanych wielkimi literami przed kinem, dwa lub trzy zdania z gatunku „szokujących" na temat filmu oraz trzeci, nie najmniej ważny czynnik: fotosy przed kinem („sceny łóżkowe", obnażone kobiety, „mordobicia" lub sceny rewolwerowe). Gwiazda filmowa nie potrafi najczęściej wylegitymować się talentem. Jest ona zdolna do odtwarzania dość nieskomplikowanych ról, w czasie których ma okazję pokazać publiczności kilka co najmniej razy swoją konstrukcję fizyczną. Zdarza się (Brigitte Bardot), że gwiazda nosi „strój niedbały", który dość często, przy pozornie zwykłym ruchu ukazuje jej wdzięki. Dobrze jest, aby tłum wiedział, co gwiazda je, ile godzin sypia, kogo kocha, jak kocha, gdzie kocha i dlaczego kocha.

Dobrze jest, aby tłum wiedział co gwiazda je, ile godzin sypia, kogo kocha, jak kocha i dlaczego kocha. (Brigitte Bardot i Jacques Charrier)

Prasa ilustrowana dużo miejsca poświęca małżeństwom znanych osobistości. (Ślub księżniczki Paoli z księciem Albertem)

Z zagadnieniem popularności gwiazdy idzie w parze problem związany ze zmianą obiektu „miłości" gwiazdy. Można by tu wyprowadzić pewną prawidłowość. Za punkt wyjścia przyjmijmy aktywność obojga zainteresowanych stron. Weźmy znów dla przykładu Brigitte Bardot. Jej miłość przedostatnią — ładnego gitarzystę — Sachę Distela — zaliczyłibym do gatunku kochanków aktywnych — taki aspekt zyskuje to przynajmniej w prasie. To on zaczepił ją na plaży, to on nagrał dla niej specjalny cykl piosenek. (Rzutuje to na powodzenie gwiazdy, jak sądzę, poprzez skojarzenie: „godna miłości"). Ostatnia miłość Brigitte Bardot — ów sympatyczny chłopak z „Les Tricheurs" Jacques Charrier — to kochanek pasywny. To ona sama zainteresowała się tym zwykłym, niepozornym chłopcem, to ów charakterystyczny dla niego nieśmiały uśmiech z dołkiem na policzku tak jej się spodobał (Rzutuje to na popularność gwiazdy poprzez skojarzenie: „potrafiąca kochać").

Notabene opis kariery Jacques Charrier (w „Paris-Match") potwierdza mit Paryża — miasta sukcesu. Otóż Charrier, wraz ze swoim kolegą Josephem Lisbona, nie mając pieniędzy, udali się ze Strasburga „autostopem" do Paryża.

Tutaj po pewnym czasie kariera błyskawiczna: Charrier staje się wziętym aktorem, Lisbona jest obecnie producentem filmowym.

Prasa, szczególnie ilustrowana, dużo miejsca poświęca małżeństwom znanych czy popularnych osobistości, wśród nich oczywiście i gwiazd. Barthes stwierdza, że aspekt mitologiczny poszczególnych rodzajów małżeństw jest różny. Wymienia on tutaj: tzw. wielkie małżeństwa (syn generała z córką przemysłowca), małżeństwa z miłości (miss Europy z prostym robotnikiem, towarzyszem dzieciństwa) i małżeństwa gwiazd. Wielkie małżeństwa zawierane bywają zwykle na oczach tłumu. Tłum jest nieodzownym rekwizytem, podobnie jak nieodzowni są przedstawiciele Armii, Rządu i Prawa. To dopiero stanowi o pompie burżuazyjnej. Zdaniem Barthes'a mit realizuje się wtedy, kiedy euforia szczęśliwej pary młodych udziela się tłumowi. Wtedy tłum zapomina o smutnej i okrutnej ludzkiej codzienności. Mit spełnia zadanie. Małżeństwo z miłości, np. Sylviane Carpentier, „Miss Europy" z prostym elektrykiem Michel Warembourg realizuje mit „szczęśliwego kącika domowego". Piękna Sylwiana porzuca wszystkie czekające ją zaszczyty i propozycje, wraca do swego chłopca, aby zamieszkać w dwupokojowym mieszkaniu. Jedzą tam wspólnie obiady, chodzą od czasu do czasu do kina, dokonują zakupów. Drobnomieszczański model życia zyskuje tu pełną aprobatę. Miłość silniejsza niż chwała triumfu — potwierdza „zasadę moralną" określonej sytuacji społecznej: jest czymś niegodnym wyzwolić się ze swej sytuacji życiowej, jest natomiast rzeczą zaszczytną w taką sytuację powrócić. (Sylwiana Carpentier). W jednym, lichym bo lichym mieszkaniu, ale dwa złączone serca. Nie ważne, że świat na zewnątrz jest zły, okrutny. Miłość uwzniośla ów kącik domowy, ten fakt z kolei pozwala zapomnieć o nędzy.

Jeśli idzie o małżeństwa gwiazd, to Barthes stwierdza, że realizuje się tutaj czysty mit „pary idealnej". Przyszłe małżeństwo napotyka jednak zwykle na trudności nieprzewidziane, staje przed możliwością niezrealizowania swego szczęścia, przyszłość pary staje się problematyczna. Dzieje się tak dlatego, że Marlon Brando poślubi Josiane Mariani, lecz najpierw musi nakręcić 20 nowych filmów, Michele Morgan i Ralf Vallone tworzyliby z pewnością znakomitą parę, lecz najpierw Michele Morgan musi uzyskać rozwód. Tak więc wyszukuje się powody, praktycznie biorąc nieistotne, marginesowe, aby usprawiedliwić chwilową niemożność zawarcia związku małżeńskiego. Jest to jednak nic innego, jak po prostu uznanie zasady, że publiczne ogłoszenie małżeństwa jest zwykle naturalną konsekwencją dotychczasowego pożycia. Ciągle lansowana hipotetyczność małżeństwa pozwala swobodnie, bez obrazy publicznej, obcować ze sobą wybranej parze. Małżeństwo (przyszłe) Marlona Brando obciążone jest pewnymi kompleksami społecznymi. Jest to związek księcia i pasterki — pisze Barthes. Josiane, córka uczciwego rybaka, mówiąca wszakże biegle po angielsku i posiadająca maturę (kwalifikacje panny), zdobyła najbardziej ciemnego i podejrzanego człowieka filmu, „skrzyżowanie Hipolita z dzikim i samotnym sułtanem".

Dla czytelnika licznych ilustrowanych tygodników staje się on w niedługim czasie pierwowzorem drobnego mieszczanina.

Drobnomieszczaństwo francuskie będące dzisiaj w stadium „zaborczości mitycznej" zdobywa jeszcze jedną pozycję. Ze stadium muskularnego, cielesnego, Marlon Brando przechodzi w stadium porządku społecznego. Zostaje wyświęcony na drobnomieszczanina, choć święceń tych zdaje się nie aprobować.

Barthes w swojej książce potrafił uchwycić podszewkę mitologiczną wielu codziennych, zdawać by się mogło, zwykłych zjawisk. Wspomina on tam jeszcze i o micie czerwonego wina, spożywanego masowo we Francji, a także o micie pisarza na wakacjach („pisarz na wakacjach taki sam jak i inni człowiek").

Długo można by pisać jeszcze o mitologii Francji dzisiejszej. Musimy pamiętać, że ta mitologia nie jest czymś skończonym. Interesująca książka Barthesa ma walor przewodnika, orientującego w sprawach, o które każdy będący na Zachodzie ociera się codziennie. O tym, „że światek się toczy" wie każdy, ale jak się to dzieje, nie zawsze można sobie wyobrazić.

Napisał:
WŁODZIMIERZ KRYSIŃSKI